This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Slav 5198.1920

HARVARD COLLEGE
LIBRARY.

FROM THE

WILLIAM INGLIS MORSE FUND

FOR THE

PURCHASE OF BOOKS ON CANADIAN
HISTORY AND LITERATURE

MELITELE

NOWOROCZNIE

WYDANY

PRZEZ

Antoniego Edwarda Odyńca.

ROK DRUGI.

Warszawa,

W Drukarni A. GAŁĘZOWSKIEGO I KOMP.
przy ulicy ZABIEJ N. 472.

1830.

MELITELE

NOWOROCZNIK

WYDANY

PRZEZ

Antoniego Edwarda Odyńca.

ROK DRUGI.

Warszawa,

W Drukarni A. GAŁĘZOWSKIEGO I KOMP.
przy ulicy ŻABIEJ N. 472.

1830.

4
Slav 5198.420 (1830)

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY
13 APR 1970
Morse 4

J. H. Niemcewicz

PRZEPOWIEDZENIE

O ZBURZENIU TYRU

PRZEZ

IZAJASZA PROROKA.

Kwil.cie okręty morskie, bo już Tyr zburzony,
Kędyż są szańce jego i wysokie baszty?
I jak cedry libanu wznoszące się maszty,
I lud jego niezliczony?

Mówiłeś pyszne miasto i czas niedaleki
Dochodem moim morze, a żniwem są rzeki:
Port mój głęboki pod skały téj spadem
Narodów składem.

O pyszny grodzie dziś w żałobnym kirze,
Umilkły pienia twe głośne;
Jak niegdyś o Egipcie, tak późniéj o Tyrze,
Powieści będą żałośne.

Z jakąż na ludy patrzałeś pogardą,
Ślepy w dostatków wytworze,
Bóg chcąc ukarać zuchwałość twą hardą,
Dłoń swą wyciągnął na morze.

I zadrżały królestwa, rozsiadły się góry,
Chwieją się twierdze i warowne mury,
Chwieją się, chylą... ciężkich głazów brzemie,
Pada na ziemię.

Kwilcie okręty morskie, bo już Tyru niéma,
Już na próżno chciwemi szukasz go oczyma.

J. U. Niemcewicz.

FRAGMENT.

Znajdziesz to i w romansach — lecz częściéj na jawie.—
Bezimienny.

. . . . . .

On głęboko westchnąwszy, tak mu odpowiada:
„Jeżeli cudzéj dzielić nie umiész niedoli,
Gdy własna tylko troska serce twoje boli,
Na co pytasz daremnie? — każde moje słowo
Rany już przygojone rozrani na nowo;
Ożywi cień przeszłości, tysiąc wspomnień zbudzi.
Ty zniknieszz moich oczu, pójdziesz między ludzi,
Może zimnych, nieczułych; z dziejów méj boleści
Ucieszne dla ich ucha ułożysz powieści;
A ja zostanę z sobą, i młodości mary
Jak furje szarpać będą serce swéj ofiary.
Ale może cię krzywdzę. — Jeszcze w twoim wieku
Serce ludzko, litośnie uderza w człowieku;

Łza łatwa, zajaśnienie wtwém oku niewinném.
Słuchaj więc, lecz co powiém nie powtarzaj innym!
„W młodości przyjaciela jedynego miałem.
Kochał mię, ja go wzajem, i z serca kochałem;
Wszystko mieliśmy wspólne, i duszą gotową
Byłbym się z nim podzielił i życia połową.
Razem w szkole przy pracy, w domu przy zabawie,
Jedne chęci, też same marzenia o sławie,
O trwałości przyjaźni, o szczęściu w kochaniu,
Zawsze z sobą i zgodni w uczuciu i zdaniu,
Rośliśmy, dojrzewali, jak dwa blizkie drzewa,
Których liściem splecionym jeden wiatr powiewa.
„Zwolna rojeń młodzieńczych opadały kwiaty;
Ważniejsze prace przyszły z ważniejszémi laty.
Jedną barwą okryci i zbrojni żelazem
Stanęliśmy w szeregach, i walczyli razem.
Los nadarzał nam różne walki i przygody:
Te śmiałość odwracała, a inne wiek młody
Zwyciężał. — Każdéj wojny podobne koleje:
To odbiéra i chwały i życia nadzieje,
To powraca zwycięztwo i zdobycz wydartą.
O tak prostych zdarzeniach mówić ci niewarto.
Jedno tylko opowiém. Raz z małym oddziałem
Wśród nocy na placówce zostawiony stałem.
Wsparty ręką na siodle, smutny, niespokojny,
Rozważałem los kraju, i skutki téj wojny.
Koń stał cicho, bez ruchu, z głową nachyloną,
Czasem tylko rwał trawę świeżą krwią zroszoną.
W około mnie, przy dzidach zatkniętych żołnierze,
Ci broń opatrywali, ci mrucząc pacierze.

Zasypiali na nogach. — W dalekości czasem
Podsycane ogniska błyskały pod lasem
Gdzie było nasze wojsko. — A o staj nie wiele
Z przeciwnéj strony drugie, gdzie nieprzyjaciele.
Strzał daleki niekiedy dochodził do ucha;
I z obozów ta wrzawa przytępiona, głucha
Jak szum fali odległéj, gdy wstrzymana w biegu
Rozbija się o piasek i cofa od brzegu.
Nagle błysk nas uderza i huk ręcznéj broni;
Jeden, dwa, potém kilku. — Dosiadamy koni,
Wzrok, ucho natężone trzymamy, gotowi
Odważne stawić czoło nieprzyjacielowi.
Nie przybliżał się jednak. — Do miejsca wystrzału,
Mimo głos powinności, wyruszam pomału,
Przejęty drżeniem, które wstrząsa ludzkiém łonem
Przed stanowczym wypadkiem, albo blizkim zgonem.
Mój przyjaciel miał zająć stanowisko moje,
O całość jego trwożny niosę mu pierś swoję;
Pospieszam; widzę naszych z nieprzyjaciół zgrają:
Jeszcze trzy chorągiewki białe się migają;
Groźném kołem zaświécą, w dole, w górze znowu,
Szybkie, widne jak białe skrzydła rybołowu
Gdy nad wodą zamgloną tu i owdzie błyska
I na łup swój pierzchliwy zdaleka się ciska.
Dwie znikło — jedna tylko w powietrzu zostaje,
Lecz już pęd jéj wolniejszy. — Zbliżam się, poznaję
I żołnierza i konia. — Zamną zawołałem,
I piérwszy bez namysłu rzucam się z zapałem.
Mój przykład i odwaga żołnierzy ośmiela,
Uderzamy choć słabsi na nieprzyjaciela,

Pierzchnął, zlękły tak nagłym i szybkim napadem,
Nie goniłem go długo; wracam własnym śladem,
I szukam nieszczęsnego któregom ocalił.
Gdzież on? trwożny myślałem, gdzie się ztąd oddalił?
Może padł? i łza żalu zadrżała w mém oku.
Oglądam się w około, i widzę na boku
Siedzącego na koniu. — Utkwił dzidę w ziemi
Silne jéj drzewce ujął rękami obiemi,
Na nich głowę krwią zlaną i odkrytą złożył.
Odezwałem się, poznał, i oczy otworzył;
Podniósł się, rękę moję ujął z wysileniem
I do piersi ją swoich przycisnął z westchnieniem.
Zapłakałem z roskoszy — A później z rozpaczy.
Ale któż przeznaczenia wolą przeinaczy?
Kto zgadnie jaki piorun dotknie jego nawy?
Ocaliłem mu życie kosztem własnéj sławy,
Dla niego śmierci nawet wyglądałem śmiało;
A on — ale uważaj co się daléj stało.
„Jeszczem głębokie jego opatrywał rany,
Gdy nagle z dział polowych wystrzał usłyszany
Przeraził mię i zdziwił. — Nie znałem bojaźni,
Lecz ta myśl, żem poświęcił powinność przyjaźni,
Dręczyła mnie tajemnie. — Moje stanowisko
Zostało bez obrony — Nieprzyjaciel blisko,
Mógł napaść. — Na ten obraz serce wemnie drżało.
Odsyłam opatrzone przyjaciela ciało;
Spieszę do swego miejsca, i widzę, niestety,
Ciągnących się szeregów błyszczące bagnety.
Nie było czasu myśleć. — Przy naszym obozie
Już wrzała nocna bitwa w całéj swojéj grozie;

Szeroko błyskał ogień strzelby, grzmiały działa,
I na dwu końcach wojska trąba już wzywała.
Zwracam się, biegnę stanąć pod swemi sztandary
I w boju już nie chwały szukać, ale kary.
Jakem walczył daremnie byłoby powiadać.
Czy nie mógł nieprzyjaciel, czy mi nie chciał zadać
Zgubnego ciosu, nie wiem; lecz wiedziało niebo
Jaką śmierć była dla mnie łaską i potrzebą.
Plac boju został przy nas.—Gdzie wczora przed świtem
Rozjuszone rumaki deptały kopytem
I ludzi i oręże; gdzie zapamiętali
Żołnierze do serc swoich bagnetem sięgali;
Przechodzą się bezpieczni przez zaległe błonie.
Ci rannych opatrują, ci na martwém łonie
Przyjaciół, towarzyszów i śmielszych rycerzy
Kładą dłoń, czy w nich jeszcze serce nie uderzy:
Ci pod okiem zwierzchników gardzących zdobyczą
Chorągwi wynajdują i poległych liczą.
Wszyscy cieszą się zwrotem fortuny odmiennym.
A ja? — stałem pod strażą przed sądem wojennym.
Spytany, nie tailem swego przewinienia,
I wyrok sprawiedliwy przyjąłem bez drżenia.
W kole smutnych żołnierzy na plac wywiedziony
Ukląkłem, przez pokorę nie przez strach schylony.
I zbywszy się nadziei, co pieszczoty swemi
Z nad grobu jeszcze duszę przywabia do ziemi,
Wznosiłem się spokojnie do owéj krainy
Gdzie insza sprawiedliwość, insze karzą winy.
Jużem się nie spodziewał słyszéć głosu ludzi;
Kiedy mię krzyk radośny z otrętwienia budzi,

Wznoszę marzeniem śmierci zasępione czoło,
I twarze ucieszone postrzegam w około.
Winszują mi, ci nawet ściskają weseli
Co niedawno broń ku mnie skierowaną mieli.
Zyskałem przebaczenie. Tak się niebu zdało
Że jednéj, szybkiéj śmierci było mi zamało;
Zatrzymano do lotu duszę już gotową,
By wielokroć konała, śmiercią coraz nową
I nie mogła wyjść z piersi. — Życia mi nie wzięto.
Lecz za karę, z niesławą z szeregów wypchnięto.
Próżne były me prośby, daremnie błagali
Ci co zemną walczyli, co mię w boju znali:
Pożegnałem sztandary. — Jeszcze dzisiaj wierzę,
Że wówczas mój przyjaciel bolał ze mną szczerze,
Sciskaliśmy się wspólną przejęci żałobą.
Jak gdybyśmy już nigdy żyć nie mieli z sobą:
„Tak wiele dla mnie cierpisz!" ze łzami zawołał,
„Obym kiedy odpłacić tyle ofiar zdołał!" —
I niewdzięczność nie była serca jego wadą,
Odpłacił mi to później — i południu — zdradą.
„Żyłem odtąd samotny pod rodzinną strzechą,
Książka, rola i lasy były mi pociechą,
Lecz słabą i niezawsze — Wierny wspólnik boju
Tu nawet koń mój dzielny nie znalazł pokoju:
Bom go sam nie miał w sobie. W zimno i upały
Błąkałem się po lasach, darłem się na skały;
Raz dzika okolica, samotna i głucha
Zajęła oko, słodko mówiła do ucha;
Znowu wicher mię cieszył i grom oddalony,
Grad i burza niszcząca moje własne plony.

W niezgodzie z sobą samym, daleki od ludzi
Tak żyłem. — Biada życiu! gdy ze snu nie budzi
Ani żądza, ni praca; gdy w kim serce bije
Dla tego że krew płynie; kto bez jutra żyje,
Wlecze się bez nadziei, niknie bez pamiątek;
Od staréj to świątyni oderwany szczątek;
Do gmachu nie przystanie, na ziemi zawadza:
Piołun tylko w swym cieniu krzewi i rozpładza.
„Wojna się zakończyła, i niebios wyroki
Przeznaczyły nam pokój długi i głęboki,
Pokój grobu. — Wstyd, smutek, rozpacz po kolei
Dręczyły duszę z wszelkiéj odartą nadziei.
Ale czas każdą ranę goi i zaciera.
Jedna tylko zgryzota w sercu nie umiera.
Powoli piérwsza boleść ostrze swe tępiła,
I z życiem pogrobowém myśl się oswoiła,
Cichy żal tylko został dumaniem karmiony.
Dzień cały w karty dziejów miałem wzrok wlepiony;
A kiedy noc nadeszła z milczeniem głębokiém,
Gdy gwiazdy roziskrzoném poglądały okiem,
I księżyc cicho pływał — topiąc duszę w niebie
Rozmyślałem o smutnym narodu pogrzebie.
I to przeszło — zbyt długo łuk był natężony,
Musiał zwolnieć lub pęknąć. — Do ludzi stworzony
Zacząłem szukać ludzi. — Okolica cała
Była pusta. — Oddawna siostra mię wzywała.
Do niéj jadę, przybywam i w jéj wierne łono
Przelewam duszę w sobie zbyt długo zamkniona.
Wiek dziecinny jéj głosem z grobu wywołany
Zdjął smutek z mego czoła. Dawno zapomniany

Na usta już odwykłe szczéry uśmiech wrócił;
A jeślim się zadumał, zmarszczył lub zasmucił,
Jéj dobroć, słodka dobroć chmurę rozegnała
I piersiom zaburzonym pokój oddawała.
Gdym się z dziećmi jéj bawił, gdy mąż rozczulony
Śledził okiem miłości każdy krok swéj żony,
A ona mu dziękując z słodkiém przymileniem
Padła w jego objęcia — dziwném poruszeniem
Przejęty, czułem wówczas jak mi serce drżało,
I takiéj jednéj chwili gorąco żądało.
Niedługo téż nadeszła — i trwała niedługo. —
Jak spoczynek wędrowca, co nad wdzięczną strugą
Przylęże; snem o domu tęskną duszę łudzi,
Aż go zbójca z zasadzki sztyletem przebudzi.
„Jechałem raz samotny, kędy szara skała
Nad kwiecistą murawą wysoko sterczała,
Nierówna, połamana — Szczyt jéj zarośnięty
Zielenił się od krzewów, których gęste pręty
Zwieszały się w półwieńce; a dwie brzozy krzywe
Wyrosłe z rozpadliny, gałęzie płaczliwe
Rozrzucały po trawie rosnącéj w ich cieniu;
Przy nich gęsty barwinek piął się po kamieniu;
A gdzie ziemia przylgnęła rosły inne kwiaty:
Tam zbliżałem się zwolna.— Aż dwie białe szaty
Mignęły mi z pod drzewa, — Zatrzymałem kroku,
I długo dozwalałem nacieszyć się oku.
Postrzegłem dwie kobiéty.— Jedna już nie młoda,
Drugiéj lata wiośniane i wdzięczna uroda
Niewoliła spojrzenie i serce ciągnęła.
Już wiele polnych kwiatów we włosy natknęła,

A w dłoni mając wieniec, który dowijała,
Piękną ręką po nowe ozdoby sięgała.
Po krótkiéj chwili, oczy ku skale podniosła,
Gdzie na smudze zielonéj polna róża rosła.
Klasnęła od radości, tak jéj chciała dostać,
Podskoczyła, raz, drugi — a ja lubą postać,
Kształty lekkie, powiewném okryte odzieniem
Śledziłem pomięszany, sercem i spojrzeniem.
Próżne były jéj chęci; kwiat unikał ręki.
Lecz ta płocha igraszka mnożyła jéj wdzięki,
Żywszą farbą oblekło się nadobne lice,
Jaśniéjszemi iskrami błyskały źrzenice,
Niecierpliwa, chce wreszcie dostać się na skałę.
Ściska chustkę, ramiona uwalniając białe,
Czepia się za gałęzie, staje na kamieniu.
Krzyknęła towarzyszka, ja drżałem w milczeniu;
A ona niezważając na rady przyjaźni,
Śmiała się pustym śmiéchem z przestróg i bojaźni;
Pięła się coraz wyżéj, aż róża zerwana
Przelękłéj towarzyszce padła na kolana.
Jaka była jéj radość, tryumf jak niewinny!
Patrzyłem z uniesieniem na uśmiech dziecinny,
Który z głębi jéj serca na usta wypływał
I w anielskie powaby lubą twarz odziéwał.
Lecz gdy przyszło zejść nazad, nie mogła od trwogi.
Nieśmiała na wschód niższy lekkiéj spuścić nogi,
Wietkich brzozy gałązek uchwycić się bała,
Ciągle patrząc ku ziemi, ciągle w miejscu stała,
A w oczach jéj ze łzami uśmiech się kojarzył.
Dziękowałem losowi że mi porę zdarzył.

Rzucam konia, przychodzę. — Zlękła mym widokiem,
Zawstydzonem, nieśmiałem pogląda okiem.
Lecz mię druga zachęca. — Śmiało więc wstępuję,
Jednę rękę podaję, drugą w pół ujmuję,
I sam drżący, bez chęci do mnie się tulącą
Sprowadzam, czy od wstydu, czy od strachu drżącą.
Schodzimy, lecz zaledwie stanęła na ziemi,
Odskoczyła odemnie kroki tak szybkiemi,
Jak szybko gołębica z pod dachu się wzbija,
Gdy już jastrząb odleciał, gdy trwoga przemija.
Wdzięcznie jéj piękne usta dzięki mi składały,
Ale oczy coś więcéj wypowiedzieć chciały.
Lecz gdym milczał i w twarz jéj patrzył z zamyśleniem,
Odeszła — długo białém migając odzieniem.
Ale obraz jéj został. — Wracam rozmarzony.
A gdy przyszedł nazajutrz wieczór upragniony,
Dążę do tego miejsca gdziem duszą przebywał.
W com ufał niewiem, niewiem czemum się spodziéwał
Że ją ujrzę. — Przybyła. — O! ta słodka chwila
Wśród pomroki jesieni wiosną się przymila,
I choć cmentarz przeszłości głucha noc obwodzi,
Błyska jeszcze jak płomyk który z grobu wschodzi.
Utkwiło mi w pamięci każde wyrażenie
Jéj oczu i jéj głosu; każde przymilenie
Lekkie, na w pół wyraźne w sercu pozostało,
I w czuwaniu obecne, w snach się powtarzało.
Sen, pokój odzyskany, z niemiłym obrazem
Dawnych trosk, dawnych cierpień odbiegły mię razem,
Inne myśli, marzenia i uciechy nowe
I serce ogarnęły i zajęły głowę.

Któż się w chwili roskoszy boleści spodziéwa?
Przecież często od ognia, który gmach ogrzéwa,
Wytryska zgubna iskra i bucha płomieniem,
I zostają ruiny z pustką i zniszczeniem,
Bezludne, w których żaden głos się nie rozlega,
Których radość unika, których płacz odbiega,
W których czasem się tylko wędrowiec zasmuca,
Kiedy ręką ciekawą zimny gruz przerzuca.
„Stanąłem przed ołtarzem, jéj dłoń w mojéj dłoni.
Ona w śnieżném odzieniu i z mirtem na skroni
Była przy mnie i moją. — Pobladło jéj lice,
Czoło zaszło myślami, zamierzchły zrzenice
Łzą — czułości, nie smutku. — Sercem rozrzewnioném
Witałem się z tém szczęściem dawno upragnioném,
I radość moja była wielka, niewymowna.
Rozwijała się oku kraina czarowna
Przyszłości, jaką czasem dusza w pół-uspiona
Wywołuje, roztacza z rajskich marzeń łona,
Ozdobna setną zmianą kształtów, farb i cieni,
Błyszcząca wieczném światłem niezgasłych promieni
„W marzeniach kraj ten błogi, w snach ten śpiéw przygrywa,
Gdzie zanosi myśl ludzką nadzieja skwapliwa;
Tam człowiek chwil niewiele pobłąkać się może,
Nim go ręka żelazna ztrąci na bezdroże,
Gdzie siedlisko zepsucia, gdzie gadów ojczyzna,
Gdzie w każdém zielu, kwiecie, gorycz i trucizna.
„Kilka chwil i ja miałem. — Jak słońce na wiosnę
Budzi kwiaty, murawy i śpiewy miłosne,
I do gajów rozkosznych i najdzikszych knieі
Zanosi powiew szczęścia i wonię nadziei;

Tak jéj wdzięk, jéj wesołość dom mój ożywiła.
Jaśniejąca jak gwiazda wszystko rozjaśniła,
Wszystko się przy niéj śmiało. I te smutne ściany,
Z których uśmiech wesela dawno był wygnany,
Ponure jak myśl pana co je zamieszkiwał;
W jakąś szatę świąteczną urok jéj odziéwał.
„Jest koło czarodziejskie co piękność otacza
Światłem z nieba odbitém. Tam się przeistacza
Każda myśl, każde czucie. Smutek gorycz traci,
Wesołość w powabniejszéj wzlątuje postaci,
Złość zamyka pociski, boleść się łagodzi.
Szczęśliwy! czyich oczu promień jéj dochodzi;
Kto może pieścić uszy jéj harmonii echem,
Żyć w sferze zawonionéj jéj boskim oddechem.
Żyłem i ja wtém świetle. — Jeszcze myśli moje
Zabiegają wte miejsca; jeszcze oczy poję
Obrazem który zczerniał; bawię uszy śpiewem
Rozstrojonym na zawsze nieszczęścia powiewem;
Jestem tam, widzę wszystko. — W téj ustronnéj sali
Cieszyliśmy się razem i razem płakali;
Płacz wspólny był roskoszą. — Nieraz za tym stołem
Siedząc w ciszy wieczoru czytaliśmy społem,
Chodzili po tym gaju; a gdy na pół drogi
Odpoczynku wołały utrudzone nogi,
Siedliśmy ciesząc zmysły blizkich niw oddechem.
Wtenczas ku mnie patrzyła z pół-sennym uśmiechem
I nagle urywając zaczętą rozmowę,
Usnęła na mych piersiach kładąc drogą głowę. —
O! pamiętam, jak nieraz w zadumienie wpadłem,
Gdy odziana w strój nowy stojąc przed zwierciadłem

Włos sztucznie utrefiony kwiatem ozdabiała.
Cieszył ją luby widok, z radością patrzała
Na tryumf swoich wdzięków; a nagle zwrócona
Tuliła się pieszczotnie do mojego łona.
A teraz—wszystko przeszło, wszystko—prócz zgryzoty.
„W czasie szronów jesieni przed mojémi wroty
Stanął żołnierz z niewoli. Łatwy mu wstęp daję,
Przychodzi, drżąc od zimna, zbliżam się, poznaję
Przyjaciela młodości. — Radość, podziwienie,
Dawnych cierpień pamiątki, dawnych lat wspomnienie
Ożyło w mojém sercu. W otwarte ramiona
Przyjmuję nieszczęsnego, przyciskam do łona;
Ogrzéwam go, osłaniam, jego smutek koję,
Wylewam przed nim duszę, kreślę szczęście moje,
Stokrotnie powiększone drogim mi obrazem:
Ze razem żyć będziemy i starzéć się razem.
Ale zaledwie przybył, nędzą wycieńczony
Padł na łoże śmiertelną chorobą złożony.
Ile przyjaźń dać mogła starań i pomocy,
Miał wszystkie w moim domu. Przy nim w dzień i w nocy
Troskliwy, w twarz wybladłą ze drżeniem patrzałem,
Śledziłem krwi uderzeń, oddechu czekałem.
I ona się troszczyła. Trwoga przeminęła:
Nie umarł. — Ślepa radość piersi mé zajęła,
Cieszyłem się jak dziécię, gdy dostanie broni
I pieści zgubny piorun w nieprzezornéj dłoni.
Powstał wreszcie. — Jak tkliwie moją rękę ściskał,
Jakiéj wdzięczności ogień w oczach jego błyskał!
Może jeszcze był szczéry. Nazywany bratem,
Nazywał dom nasz swoją ojczyzną, swym światem,

Przyczyniał nam rozrywek, moje prace dzielił,
Smucił się naszym smutkiem, szczęściem się weselił,
Zadziwiał nas, rozrzewniał, i wszystkie przymioty
Wszystkie dary okazał, oprócz — jednéj cnoty.
Zaślepiony, ufałem. — Jeszcze w sercu twojém
Jest ufność; jeszcześ własnym niekupił pokojem
Niewiary w ludzką cnotę. Szczęśliwy młodzianie!
Niech nigdy do twych piersi ta rdza nie przystanie.
Gdy raz przylgnie do serca, ogarnie, zacieni,
Gryźć je będzie i trawić, póki w proch nie zmieni.
„Raz zaczął opowiadać swéj niewoli dzieje,
Pełne zdarzeń i myśli. Jeszcze dziś truchleję
Na wspomnienie téj chwili. Kreślił nam narody
Dalekie i w pół dzikie; malował przygody
I swoje i swych braci; tu nędzy obrazem
Przenikał nasze piersi, tu skromnym wyrazem
Wytrwania i godności serca bez bojaźni,
W pięknem stawił się świetle naszej wyobraźni.
Nigdy mię tak nie zajął postacią i mową.
Słuchałem go — i ona z nachyloną głową
Którą na miękkiéj dłoni niedbale trzymała
Bez ruchu, bez oddechu, pilnie go słuchała.
Łza, błysnęła w jéj oku. — Może mimo woli
Zrosiła jéj powieki na obraz niedolí
Miłego mi człowieka. — Niewiem, co myślałem
Czemu mię obraziła, dla czego zadrżałem.
Pobladły; i na powieść niebaczny i głuchy,
Topiąc oczy w jéj licu, śledziłem jéj ruchy.
Nie mogłem zbyć złéj myśli. Jak niekiedy weśnie
Czujesz sztylet przy piersiach, dręczysz się boleśnie

I zbudzić się nie możesz.— Nagle mi się zdało
Że wszystko na około bladło i ciemniało,
Nikły wdzięki natury, i życia ozdoby,
zaciągał się całun smutku i żałoby.
Gdy skończył — rozrzewniona zwyrazem dobroci,
Z uśmiechem co jéj każde przymilenie złoci,
Podała mu swą rękę. Ujął ją z zapałem,
Uczułem to ściśnienie. — Przeszyty, powstałem,
Wyszedłem, żalem, wstydem, zazdrością dręczony.
I ta furja stu-oka ujęła w swe szpony
Moje myśli, uczucia, moją istność całą.
Odtąd w nocach niespanych oko me czuwało.
W dzień, na pozór spokojny, otwarte zrzenice
Trzymałem na ich kroki, ich oczy, ich lice.
Milczący, zachmurzony, siedziałem zdaleka
Jak pająk pełen jadu kiedy łupu czeka.
Zawszem widział ten uśmiech, tę rękę podaną,
I tę łzę tak wymowną nie dla mnie wyłaną;
Każde słowo, wejrzenie, choć z myśli wyzute
Niosło w pierś mą pociski bolesne, zatrute,
Których wydrzeć nie mogłem, chyba z duszą razem;
Dzień mię dręczył, sen gorszym przerażał obrazem.
Raz widziałem ich z sobą; znowu krwią zbryzgany
Moją ręką zadane odkrywał jéj rany.
Tom dostrzegał ich pieszczot, to zmianą straszliwą
Jegom widział z pochodnią. — ją — bladą, nieżywą,
U nóg moich leżącą. — Smutną przepowiednią
Przebudzony, przelękły, biegnę, staję przed nią:
Ale gdym ujrzał śpiącą, gdy jej piękne łono
Wznosiło się spokojnie pod lekką zasłoną,

Gdym się wpatrzył w to lice wdzięczne i łagodne,
W usta pełne uśmiechu, i czoło pogodne;
I rzucił wzrok na siebie — uczuł wargi spiekłe,
I oczy zapalone ostrą łzą zaciekle,
I węże w sercu— własnym zlękniony widokiem,
Powolnym od jéj łoża odchodziłem krokiem,
I stając w ciemnym kącie, łzami boleśnemi
Żegnałem ją na wieki, a z nią szczęście ziemi. —
„Gdyby był do mnie przyszedł i na moje łono
Wylał duszę tak wielu wdziękami zwalczoną,
Gdyby chciał mię przekonać że zdrady niezdolny,
Że ten płomień tak silny, ale poniewolny
Przytłumi oddaleniem, i swéj cnoty siłą
Odepchnie tę ponętę tak słodką, tak miłą:
Przebaczyłbym.— Lecz niebu zdało się inaczéj:
I teraz jeźli można niechaj mnie przebaczy. —
„Musiałem go opuścić; on chciał jechać zemną.
Lecz postrzegłem ich trwogę, i myślą tajemną
Zajęty, odjechałem, lecz sam jeden. — Smutny
Żegnałem się, jak gdyby ten rozdział okrutny
Miał być dla nas ostatni. — Niebo czyste było,
Słońce, przy końcu wiosny, śmieléj się wznosiło;
Wiatr lekki otrząsając krople gęstéj rosy,
Zbliżał listki na drzewach, giął ku sobie kłosy,
I napełniał powietrze balsamem wonności.
Nie dla mnie był ten widok szczęścia i miłości.
Zamknięty, z swoją troską, spojrzeniem nieczułem
Na wdzięki ziemi patrząc, srogi zamiar knułem.
W pół drogi się wstrzymuję; i sam pokryjomu,
Zbrojny, dosiadam konia, i wracam do domu.

Spieszę się jakby prawda, któréj dusza chciała,
Od wątpliwéj bojaźni, mniéj trucizny miała.
Przybywam, już noc była, chmury na około
Zakryły niebo, ziemię i księżyca czoło;
Grźmiało zdala, wiatr szumiał i nachylał drzewa,
Dészcz bił w okna, po dachu huczała ulewa,
A silne błyskawice, urwane, skwapliwe,
Rzucały na ten obraz światło przeraźliwe.
Podchodzę pod jéj okno. — Wewnątrz było głucho,
Nic oko nie widziało, nie słyszało ucho,
Prócz dalekich piorunów. — Błysnęło — wśród sali
Postrzegłem ich — samotni, blizko siebie stali,
Tak blizko, że czuć mogli serca swego bicie.
Nie mogłem oczom wierzyć — podstępuję skrycie,
Wciskam wzrok w ciemne szyby, zaledwie oddycham,
I jeszcze od swéj duszy złe widmo odpycham.
Jeszcze łudzę się. — Nagle niebo zapalone
Błyska znowu — i widzę usta ich spojone. —
Chciałem krzyknąć, nie mogłem, wściekłość głos mi wzięła.
Bez chęci, sama ręka, ku nim broń pomknęła,
Huk się rozbił o ściany, szyby zabrzęczały,
I dwa jęki bolesne słyszéć mi się dały. —
I co się stało? — niewiem. — Koń był niedaleki,
Rzucam dom, rzucam wszystko nadługo, na wieki,
Uciekam — z mieczem kary nikt za mną nie gonił,
I zemstę i występek cień nocy osłonił.
Silny rozpaczą, żadnéj niebałem się ręki;
Śmierć była dobrodziejstwem. — Ale te dwa jęki
Ścigały serce. Wszystkie władze, wszystkie siły
Ciała, duszy zebrane, w słuch się przemieniły.

Nie miała ziemia wdzięków, piorunów niebiosy,
Nic nie było w naturze, tylko te dwa głosy
Samotne, przeraźliwe. — Lasy, wzgórki, łany,
Wsi, miasteczka, znikały, jak kurzu tumany.
Noc przeszła, dzień zajaśniał; bez celu, bez drogi
Biegłem jeszcze, skrwawione nurzając ostrogi
W bokach mojego konia, aż upadł — bez życia.
Leżałem zdala, śmierci czekając przybycia;
Nie przyszła. — Tylko orzeł, skoro postrzegł zwłoki
Nad świeżą ucztą krążąc, zniżył lot wysoki,
Szumiał skrzydłem, i długo w miejscu zawieszony
Spadł nagle, dziób zakrwawił i zatopił szpony.
Porwałem się, bolesnym ocekniony widokiem.
Spłoszył się i uleciał; a ja smutném okiem
Patrząc na towarzysza co z méj ginął winy,
Zapłakałem. Ach! to był przyjaciel jedyny,
To były łzy ostatnie. — Dni, miesiące, lata,
Wlekły się ciężkim chodem; w różne strony świata
Gnały mię losy. — Teraz za tym progiem, żyję
W towarzystwie tych grobów. — Czemu jeszcze bije
To serce, choć mu żadna gwiazda nie przyświéca?
Oto spytaj natury! jéj to tajemnica.
Jéj niewolnik, jéj więzy dźwigam w ukorzeniu,
I pójdę gdy zawoła." —
Skończył; i w milczeniu
Oba stali, nieśmiejąc oczu wznieść na siebie.
Ciemno było; wiatr chmury rozganiał po niebie,
Rozdzieliły się, księżyc czystém kołem błysnął
I na twarz zakonnika blade światło cisnął.
Obaczył go młodzieniec: zapadle głęboko
Jakąś łzą zapomnianą świéciło się oko,

Chude lice śmiertelna bladość okrywała,
I troska nieuspiona na czole leżała.
Odwrócił się, przejęty mimowolną trwogą.
A gdy spojrzał, już przy nim nie było nikogo,
Tylko między drzewami kędy wzrok przenikał
Cień się jakiś wałęsał, oddalał i znikał.
Długo śledził go młodzian i duszą i okiem;
A gdy zniknął zupełnie, wolnym schodząc krokiem
Ciężkim oddał się myślom, tęskny, niespokojny,
Jakby wracał z krainy zarazy i wojny.

J. Korzeniowski.

STOWARZYSZENIE OŚWIATOWE CHOWANIE filja w CZĘSTOCHOWIE

ŻAŁOBNE RÓŻE

POWIESC *

Lord Edward Litelton w dwudziestym roku życia posiadał to wszystko coby szczęście stanowić powinno; lecz przesycony światem, w téj porze wieku

* Ta piękna powieść wyszła z pod pióra Polki, hr. *A. D. W.* i umieszczona jest w dpisie podróży, o którym słyszeliśmy mówiących z licznemi pochwałami; z żalem jednak donosimy, iż chociaż przez Polkę, była napisana nie po polsku! Autorka ułożyła ją w mowie francuzkiéj; i aby jéj dzieło mogło być od ziomków czytane, potrzebowało wprzódy tłómacza! Kiedyż wreszcie łaskawe niebo uratuje nas od cudzoziemczyzny, która tak szkodliwy, tak smutny wpływ wywiéra na ojczystą literaturę!. Polki, tak świetnie błyszczące darami umysłu i serca, dowcipem i gustem celujące, kiedyż nareszcie uwierzyć raczą że mowa ich naddziadów, mowa rodzinna zdolna jest tłómaczyć ich myśli i uczucia! że pod wdzięcznem ich piórem i z ust ich słodkich łatwoby przyjęła ostatnie ukształcenie; że nakoniec przez to, jak zacne obywa-

dla któréj on zwykle ma najwięcéj ponęt, żył bez celu, uznając za niegodne życzeń i starań swoich, zbyt łatwo zyskiwane pomyślności.

telki, jak wierne i przywiązane córki spłaciłyby dług święty dla matki Ojczyzny!. Nie raz już o to zanoszono do nich zażalenia i prośby; — czemuż dotąd nie cieszymy się prośb tych owocem!. Czyliż towarzystwa wyższego ukształcenia, zgromadzenia osób noszących nazwiska znajome i zasłużone w dziejach, nie mają w narodzie odznaczać się czém innem, zacniejszém, tylko nieczułością i pogardą dla krajowego języka! A jednak niestety! słuchajmy rozmów w naszych salonach: — śród tysiąca słów francuzkich biédna polszczyzna ledwo przypomni się kilku wyrazami: zagłusza ją w uszach Polaków, wypędza ją z ust Polek tryumfująca mowa cudzoziemców! — czytajmy listy matek, żon, córek: oprócz miejsc i nazwisk, nic w nich polskiego nie znajdziemy!. Ileż na tém ciérpi ojczysta literatura! a uważając wpływy jakie ona miećby mogła, i jakie ma gdzieindziéj, ileż na tém w ogólności szkoduje kraj cały!. Gdyby raz nasze damy chciały tę rzecz ocenić jak należy, i do serca ją przyjąć! Gdyby n.p. tak w stolicy jak na prowincjach raczyły między sobą utworzyć rodzaj towarzystw, którychby przeznaczeniem i jedynym celem było pozbycie się mowy cudzoziemskiéj, a zamiłowanie w rodzinnéj: jak świetną, jak szanowną przed narodem położyłyby zasługę, do jakże miléj sercom ziomków wdzięczności nabyłyby prawa! Oby ta myśl nie została zupełnie stracona; oby przyjęcie i wsparcie znalazła! Nie zapominajmy iż kochać i szanować język ojczysty, jestto kochać i szanować ojczyznę.

Prosząc jednych o większą w téj mierze czułość i troskliwość, miło nam jest złożyć dzięki tym zacnym Polkom, które do pism swoich już użyły mowy ojczystéj, właściwej. Nie wymieniając tu ich nazwisk, czynimy to jedynie z obawy obrażenia ich skromności. — Tłómaczem niniejszéj powieści jest także Polka. *(Przyp. wyd.)*

Z ostygłém sercem lecz z gorejącą wyobraźnią, rozumiejąc iż może chwała zajmie go jeszcze i wyrwie ze stanu otrętwiałości, udał się na wojnę hiszpańską: gdzie został przyjęty z tą względnością jaką otrzymują pospolicie osoby mające za sobą jakąkolwiek wartość, znakomite imie i majątek.

Piérwsze jego kroki na polu sławy były równie świetne jak szczęśliwe, wszędy waleczny, nigdy ranny, zdało mu się iż jest już bohatyrém, i począł szemrać na niesprawiedliwość starszych, nie umiejących oceniać jego nadzwyczajnéj zasługi i zdatności.

Zniechęcony przeto ku swym przełożonym, znudzony towarzyszami stał się ponurym i szukał samotności. Dom w którym mieszkał w Kadyxie, należał do Donny Oliwii de Mendos, któréj mąż poległ przed trzema miesiącami w obronie dobréj sprawy.

Po bolesnej stracie czule kochanego małżonka jeden jeszcze przedmiot przywiązywał do życia pogrążoną w smutku wdowę. Całą swą troskliwość poświęciła szesnastoletniéj córce. Piękna i niewinna Bijanka była wychowana, jak wszystkie Hiszpanki, w zupełnéj bezczynności umysłu, która podniecając namiętności, tém niebezpieczniejszemi je czyni, im mniéj usposabia do ich pokonania.

Bijanka uczuła miłość ku młodemu Anglikowi, skoro go ujrzała przez okno zapuszczone żaluzją, przy którém smutnie spędzała dni żałoby.

Litelton wtedy dopiéro postrzegł, jak żywe w jéj duszy obudził uczucie, gdy zniechęcony wojskowością zaczął unikać ludzi. Jednego wieczora wracając powolnym krokiem do swego mieszkania, ujrzał upadające przed sobą dwie róże, związane czarną wstążką. Uchwycił żałobny ten zadatek miłości, a spiesznie spojrzawszy w górę, ujrzał rękę Bijanki, która została nieruchomą po zdradzie uczynionéj jéj sercu.

Przejęty nieznaném dotąd uczuciem, rozumiał iż piérwszy raz ukochał prawdziwie; a chęć posiadania Bijanki stała się jedynym celem jego zabiegów. Lecz jéj niewinność i troskliwa baczność matki stawiały przeszkody, które drażniąc serce Edwarda, wzniecały w niém urojoną namiętność; — téj oboje z Bijanką niebawnie mieli zostać ofiarą.

Nadszedł jednakże dzień szczęścia Liteltona, po którym nie mógł już wątpić o najtkliwszéj miłości swéj kochanki; ale tenże dzień oznaczył się smutnym i złowróżnym wypadkiem. List oznajmujący niebezpieczną chorobę ojca Edwarda, zmusił go do nagłego odjazdu. Lekkomyślny, lecz jeszcze szanujący zasady honoru, przyrzekł powrócić i prosił o rę-

kę Bijanki. Oliwija ciągłym smutkiem dręczona, przewidując bliski swój koniec, pragnęła nadać opiekuna ukochanemu dziecku, i chętnie zezwoliła na niebawne połączenie się szczęśliwych kochanków.

Gdy nadeszła chwila rozstania się, Bijanka nie ukrywała ani swéj boleści, ani miłości bez granic. Litelton wzruszony, stokrotnie powtarzał przysięgi, które wkrótce ołtarz miał uświęcić.

Pomyślnym pędzony wiatrem, ujrzał ojczyznę do któréj z utęsknieniem wzdychał tajemnie, odkąd się rozchwiały marzenia jego o wielkości i sławie.

Boleśny widok, jaki się przedstawił jego oczom, nie dozwolił mu przez czas niejaki zajmować się innym przedmiotem jak tylko staraniem około stroskanéj matki, którą zastał właśnie oddającą ostateczną posługę drogim szczątkom zacnego małżonka. Powrót syna, o którego życie w nieustannéj była obawie, przyniósł na chwilę ulgę jéj żałości, nie przerwał jednak melancholii w jakiéj się ciągle pogrążała; a Litelton natenczas pierwszy raz doznał istotnych trosk życia.

Posępne gmachy rodzinne, w których się znowu znajdował, odpowiadały wewnętrznym poruszeniom jego duszy. Budowa gotycka, długie galeryje, różno-

farbne podłużne okna, familijne wizerunki, w których strój dawny i dziwaczny zdawał się przyświadczać o szybkości biegu niszczącego czasu; wszystko to mocno się przyczyniało do zachmurzenia umysłu Edwarda, a działając zbyt żywo na drażliwą wyobraźnię, osłabiało widocznie jego zdrowie. Zatrwożona matka udała się z synem do Londynu, w nadziei iż roztargnienia stolicy przerwą mu ponury tok myśli.

Nie śmiał Litelton w pierwszych chwilach głębokiéj żałoby mówić z matką o związku, którego dopełnienie honor i miłość mu nakazywały. Wciągniony później do zabaw i rozrywek świata, zapomniał chwilowego upojenia miłości. Gdy przytém nie odbierał wiadomości z Hiszpanii, usprawiedliwiał się sam przed sobą, oskarżając Bijankę o niestałość; i wkrótce chwile poświęcone miłości, znikły jak sen przelotny z jego pamięci.

Tysiąc nowych piękności ubiegało się o podbicie serca Edwarda. Zaślepiony próżnością, brał sidła wabności za oznaki prawdziwego uczucia, a im bardziéj sądził się kochanym, tém mniéj uznawał się za winnego.

Dziewiąty miesiąc upływał od wyjazdu Litelton z Hiszpanii, gdy powrót wiosny przywołał go na

wieś, gdzie już matka na niego czekała. Przymuszony oderwać się od uciech i ponęt miasta, zabrał z sobą liczne towarzystwo przyjaciół, i przybył, śród witających go domowników i włościan, do starożytnego przodków swych zamku.

Po wesołéj uczcie trwającéj do późnéj nocy, Edward udał się na spoczynek do przygotowanych dla siebie pokojów, zamieszkanych niegdyś przez ojca. Ogarnęła go jakaś tajemna obawa, gdy po odejściu służących został sam jeden w sypialni. Przyglądał się z rozczuleniem staroświeckim w niéj sprzętom i zdawało mu się, jakoby te nieme świadki cnotliwego życia najlepszego z ojców, wyrzucały mu iż z taką płochością i tak rychło zatarł w sobie pamięć nieodżałowanéj straty którą poniósł. Pełen tym podobnych marzeń, miotany dziwną niespokojnością, nie prędko przymknął znużone powieki. Zaledwie usnął, lekki szmér nagle go przebudza. Jakąż trwogą został przejęty, gdy śród grubych ciemności nocy, ujrzał promienisty obwód, z głębi którego zbliżała się niepewnym krokiem niewiasta, odziana długą szatą, w wieńcu z świeżych kwiatów na czole i z rospuszczonemi po wysmukłéj kibici czarnych włosów uplotami. Trzy-

miała dwie róże przysłonięte żałobną krepą, a zatrzymując się w połowie drogi, uczyniła znak ręką jakby dla uspokojenia tego któremu się objawiła. Przelękły i zachwycony Litelton poznaje Bijankę, piękną jeszcze jak w czasie zwodniczych przysiąg jego; lecz nadzwyczajna bladość jéj lica, i postać jaśniejąca i unosząca się w powietrzu, oznaczały istotę nieziemską.

Przystąpiła zwolna ku zasłonie jego łóżka, a spojrzawszy boleśnym wzrokiem, złożyła u nóg zdradzieckiego kochanka żałobne róże.

Bijanko! czyliż ciebie istotnie widzę? zawołał ze drżeniem Edward. Odpowiedziała mu żałosnym uśmiechem, i natychmiast lekki obłok osłonił ją zupełnie. W téjże chwili znikło całkiem zjawienie, tylko woń kwiatów pozostała.

Przerażony młodzieniec zrywa się z łóżka; tysiąc nowych uczuć przygnębia jego duszę: — zdradzona miłość obudziła w niéj boleśne wyrzuty. Nazajutrz pospiesza do matki, wyznaje przed nią swe winy i skwapliwe daje rozkazy do wyjazdu, rozumiejąc iż przez to najpewniéj trwogę swą uspokoi. Przybywszy do Falmouth gdy nie znajduje odpływającego okrętu, niecierpliwy puszcza się na małym

statku, któremu rozhukane morze nieraz grozi zatopieniem. Lecz dusza Edwarda, zajęta jedném wyłącznem uczuciem, nie ustrasza się żadném niebezpieczeństwem. Odwaga nieszczęśliwych jest najzuchwalszą.

Nakoniec dziewiątego dnia podróży, o jedenastéj wieczór, przybija do Kadyxu, i biegnie w gwałtownem poruszeniu do domu Donny Oliwii de Mendos. Xiężyc świecąc blaskiem południowych krajów, nadawał przedmiotom postać uroczą, nie ukrywając bynajmniéj ich składu. Edward poznaje z daleka okno, przy któérm Bijanka odkryła mu tajemnicę swego serca, lecz żaluzja była otwarta, a widok ten sprawił na nim tak dotkliwe wrażenie iż przymuszony był oprzeć się o ścianę aby przyjść do siebie. Zbliżyła się podeszła kobiéta. Była to zasłużona dozorczyni domu. Spojrzała na Liteltona nie poznając go, a westchnąwszy ciężko, odeszła ku drzwiom z pękem kluczów w dłoni. Nie miał siły jéj zatrzymywać; przejął go dreszcz śmiertelny. Utopiwszy wzrok w nieszczęsne okno, zdawał się wypytywać tego milczącego powiernika tylu boleści tłumionych. Tymczasem wybiła północ, i dzwony kościelne ozwały się żałobnym odgłosem.

Na znak ten, młode dziewice zebrane u progu pobliskiego domu, klękły odmawiając modlitwy. *

Litelton usłyszał wymówione przez nich imie Bijanki de Mendos. Nieprzytomny sobie, rzuca się nagle, stuka gwałtownie do drzwi, woła staréj Małgorzaty, i staje przed nią nieśmiejąc słowa przemówić.

Niestety przybywał za późno! Bijanka już nie żyła, a nieszczęsna jéj matka, gnębiona boleścią, zamknęła się w klasztorze, którego surowe ustawy przedzieliły ją na zawsze od świata.

Nieszczęśliwy! długo oblewał gorżkiemi łzami grób swéj młodéj narzeczonéj.... Nakoniec powrócił do Anglii w stanie politowania godnym. Ani czułość macierzyńska, ani przyjaźni słodycze, nie zdołały ukoić skołatanéj duszy Edwarda. Ponury i zawsze pogrążony w czarnych dumaniach, zdawało się że zarówno pragnie i unika samotności. Jedną myślą, jedném zawsze wspomnieniem ścigany, doznawał udręczeń które malowały się w obłąkanym jego wzroku i rysach wybladłéj twarzy.

* Zwyczaj ten zachowuje się ściśle w Hiszpanii. Długo po śmierci młodéj osoby, jéj towarzyszki o godzinie w któréj ją utraciły, schodzą się razem u drzwi jéj mieszkania zanosząc modły za duszę zeszłéj przyjaciołki.

Uważano nadewszystko, iż niespokojność Lorda wzrastała zawsze z poczynającą się pomroką wieczorną: wyznał nakoniec iż co nocy o jednéjże godzinie widuje niewinną płochości swéj ofiarę.

Nadaremnie użyto wszelkich sposobów, jakie rozsądek podać może, na uleczenie tego urojenia, powtarzał codzień: *znowu ją widziałem.* Wyniszczenie sił i zdrowia Edwarda stało się tak zatrważające, iż strapiona matka szukając ulgi cierpieniom jedynego syna, wezwała pomocy biegłego lekarza. Spodziewała się jeszcze, iż sztuka lekarska skuteczniejszą i szczęśliwszą będzie jak przekładanie rozsądku i macierzyńska troskliwość.

Po niejakim czasie lekarz starający się przedewszystkiém o pozyskanie ufności chorego, oznajmił iż zaręcza za jego uzdrowienie, byleby znaleziono osobę któréj postać i rysy, przypominając Bijankę, mogłyby sprawić zupełne omamienie na chorym umyśle Edwarda. Trzeba będzie, mówił on, ubrać ją jak najdokładniéj podług opowiadania Lorda. Odchodząc, niech przerwie milczenie, przebaczy mu, i przyrzecze nie powracać więcéj. Nie widzę innego sposobu przywrócenia mu zdrowią i pokoju; nie można bowiem inaczéj leczyć nieszczęśliwych

których cierpienia pochodzą z imaginacii, jak udając że się wierzy ich urojeniu.

Długi czas minął, nim natrafiono na piękność zbliżającą się podobieństwem do osoby o któréj Litelton z takiém zachwyceniem mówił. Gdy przecież wszystko według rady lekarza przygotowane zostało, oznaczono dzień w którym miał być użyty ostateczny sposób ocalenia nieszczęśliwego młodzieńca stawającego już nad grobem. Lekarz dnia tego nie odstępował chorego na chwilę, chcąc sam przez siebie uważać i sądzić o skutku tak stanowczéj próby.

Było to wieczorem w jesiennéj porze. Gwałtowny wiatr północny oziembiał powietrze. Drzewa pozbawione liści nadawały całéj okolicy posępną postać. Wszystko usposabiało do smutnych dumań. Litelton pogrążony w czarniejszych jak zwykle myślach, przechadzał się nad brzegiem oceanu, którego fale rozbijały się o wały zamkowe. Niespokojna matka widząc iż nadzwyczaj przedłuża swą przechadzkę, posłała po niego. Wróciwszy usiadł przy niéj zamyślony i słowa nie wyrzekł. Za wybiciem pół do dwónastéj zadrżał, ujął smutnie rękę matki, przycisnął ją do zbolałego serca, i oddalił się do swego mieszkania. Niepostrzeżony lekarz

udał się za nim, a ukryty w ciemnéj części pokoju, uważał pilnie co wyniknie z ułożonéj przez niego sceny.

Po chwili, zwolna drzwi się uchylają, i wchodzi namówiona osoba, cień Bijanki udająca... Litelton wydaje głębokie westchnienie. Lecz jakież było przerażenie lekarza gdy chory po krótkiém milczeniu krzyknąwszy przeraźliwie, wymówił z obłąkaniem te okropne słowa: *Wielki Boże! dwie ich widzę!* i upadł bez zmysłów.

Na próżno użyto wszelkiego ratunku. Młody Edward odzyskał tylko na chwilę przytomność, przywołał matkę, i na jéj ręku zakończył nieznośne dla siebie życie.

DO BOGA

Z TOMASZA MOORE.

I.

Ktożby o Boże wytrwał na téj ziemi,
Któżby potrafił swym losom wydołać,
Gdyby się z troski, łzy, i rany swemi,
Nie mógł do Ciebie odwołać?

Dajesz przyjaciół w dniach szczęścia i chwały,
Lecz z przyjściem nieszczęść znikają niezwrotnie,
I ten któremu same łzy zostały,
Musi je wylać samotnie.

Ty jeden wszystko Twoją goisz dłonią,
Ty każdą stratę, każdy żal łagodzisz,
A jak kwiat z rany swéj oddycha wonią,
Tak z cierpień słodycz wywodzisz.

II.

Gdy wszystko w życiu zwiędnie po kolei,
Gdy i ta przyszłość, co na chwilę zwyknie
Łzy nasze iskrą rozjaśniać nadziei,
Już się zaciemni i zniknie.

Któżby nie upadł w ciężkim życia boju,
Kto zniósł tę burzę czarnéj nawałności,
Gdybyś Ty z góry gałązki pokoju
Nie przywiał skrzydłem miłości.

Wtenczas to boleść wzniesiona przez Ciebie,
Wiedzie nas w święte zachwycenia kraje,
Jak ciemność światy odkrywa na niebie,
Których dzień widzieć nie daje.

F. M.

HIMN.

Próżno mnie w świętym wstrzymują zapale,
Marne uciechy, niedołężna trwoga:
Na skrzydłach wiary wzbiję się zuchwale,
Niebios dosięgnę, śpiéwać będę Boga.

Wiarą wzmocniona słaba myśl człowieka,
Opuszcza ziemię i mgliste jéj wzgórza;
Innego świata skrytości docieka,
W blasku innego słońca się zanurza.

Nędzna śmiertelnych nie głuszy mnie wrzawa,
Nie łudzi zmysłów ponęta fałszywa:
Dusza wielkością Stwórcy się napawa,
Do Niego z więzów ciała się wyrywa.

Kiedy przedwieczny wyrok nas powoła,
Na cóż wmówiona wielkość zdać się może?
Ten tylko zniesie dźwięk trąby anioła,
Kto praw Twych słuchał, kto Cię wielbił, Boże.

I któż szaleńcie targnie się na rządy,
Których z pokorą słucha niebo grzmiące,
Bezdenne morza, niezmierzone lądy,
I duchów roje i światów tysiące!

Tłumy cherubów święte wznoszą pienia,
Z grzmotem piorunów, z szumem oceanów,
Odwieczne światа wstrzęsły się sklepienia,
I dźwięki lutni głuszy hymn niebianów.

w r. 1827.

XAWERY GODEBSKI.

ODJAZD.

(ELEGIJA).

Ipse ego solator quum jam mandata dedissem,
Quærebam tardas anxius usq. moras.
TIBULLUS

Bywaj mi zdrowa, kraino rodzima!
Bywajcie zdrowi kochani ziomkowie!
Na te łzy wasze, których nic nie wstrzyma,
Któż wam odpowié suchemi oczyma,
Któż wam zimnemi ustami odpowie!

Cóż mi ta przyjaźń, co mi ten dar czucia,
Co tylą ponęt młode serce mami?
Cóż mi ten nektar? kiedy bez zatrucia
Dni przyszłych, nikt go nie dotknął ustami.

Gdybym was nie znał, gdybym nie żył z wami,
Dziśby bez smutku, bez łez, bez uczucia,
Jedno *bądź zdrowa*, jedno *bądźcie zdrowi*,
Nie było równém śmierci wyrokowi.

Precz łzy dziecinne — choć lepsza połowa
Moja tu z wami zostanie się wiecznie,
Choć niebo cudze, choć kraina nowa,
Zdala od swoich długo mię przechowa,
W ręce się losu oddawszy bezpiecznie;
Jedźmy! — choć przyszłość, jako przepaść stroma,
Mglista, posępna, ciemna, niewiadoma.

Bo gdy gałązka zdala przyniesiona,
Na skrzydle wiatru, padnie w cudzéj roli,
Choć rola żyzna, choć rosą skropiona,
Nie sporo krzewi zielone ramiona,
I schnąc powoléj, bledniejąc powoli,
Na zawsze żółtym smutkiem się okoli:
Tak ludziom płynie wiek na cudzéj niwie,
Niekiedy sławnie, lecz nigdy szczęśliwie.

Cóż mi to szczęście? — Do trumny z powicią
Hołd niesiem temu nieznanemu Bogu.
Niech kto wygląda jego łask przybycia,
Z nieprzebranego obfitości rogu,
Mnie, byle odbyć tę pielgrzymkę życia:
A kiedy stanę już na śmierci progu,
Przebiegłszy drogę moją — co mi na tém,
Żem ją usłaną miał cierniem czy kwiatem?

Cóż mi ta sława? — to piérwsze kochanie,
Dusz najmniéj ziemskich w młodéj życia chwili?
Gdy dla niéj serce uderzy w młodzianie,
Wszystko jéj odda — a gdy już dostanie
Z świętego drzewa tę rószczkę Sybilli,
Gdy tych co z takim laurem powrócili,
Zimném spojrzeniem spotkają rodacy...
Jak gorżki owoc po tak trudnéj pracy!

Czyż to nagrodzi, że gdy już ślad zginie
Jamy gdzie zarył ktoś ubogie zwłoki,
Szukającym ich późna łza popłynie?
A choć cześć znajdą w ostatniéj godzinie,
Choć mauzoleum wzrośnie pod obłoki,
Czyliż ten kawał krzesanéj opoki,
Którą niebawem człek lub czas pokruszy,
Wart wycierpianych trudów i katuszy?

O! nic słodszego jako sława — gdyby
Pod deskę trumny przyszedł jéj głos mdławy,
Lub jak rycerze Ossyana, gdyby
Płynąc w powietrzu śród tumannéj nawy,
Po nad gór igły, po nad jezior szyby,
Z chmur się wychylić słysząc pieśń swéj sławy.

...Lecz jęknął dzwonek, powózka gotowa,
Żegnajcie drodzy! bywaj zdrów! bądź zdrowa.

Wilno r. 1825.

PRZECHADZKA.

(DUMANIE).

O! który uśmiéch wiosny krasisz tak przyjemnie,
Kochanku łąk dwóch ludów, witaj bławy Niemnie!
Tyś to u Nymfy-Litwy najpiękniejsza wstęga,
Która jéj zdobiąc brzegi zielonego płaszcza,
Dwa narody rozdziela, dwa wybrzeża sprzęga,
I lazur nieba swoim kryształom przywłaszcza.
Witaj żywe zwierciadło! gdzie, jak w panoramie,
Łańcuchy gór sąsiednich, krzewy, kwietne smugi,
Zielenieją i kwitną i żyją raz drugi,
Świadki niegdyś cierpienia i pieśni Adama.
Niemnie! domowa rzeko jego, jam po brzegu
Twym się błąkał, w roskosznych, w tęsknych myślach gubił,
Szukałem miejsc, gdzie czytać, dumać, marzyć lubił,
I może mi się zdało, lecz w twoich wód biegu,
W ich szmérze coś słyszałem znajomego sobie.
Niemnie! ja poraz piérwszy stanąłem przy tobie,

I może mi się zdało, lecz sosnowe lasy,
Koralem berberysu obwieszane góry,
Te zielenie tak świéżéj, tak dziewiczéj krasy,
I ten cały krajobraz tak smutno ponury,
I tak mi jego łzami pamiętny, niestety!
Lub mu dały lub wzięły coś z smutku poety.

Któż wié? może ten urok, ta tęsknota cicha,
Co mu tak mile z oczu i z pieśni oddycha,
I ta jakaś mgła żalu ponura lecz luba,
(Jak łza gasząca oczy zbyt świetne cheruba,
Gdy rozrzewniony patrzy na niedolę człeka)
Straciłyby swój powab w pogodniejszéj chwili?
Dla ziarna gienijuszu płacz najlepszym deszczem.
Safo i Tasso z cierni na ciernie gonili,
Gdy ich piersi i pieśni tchnęły życiem wieszczem.
Byron, ów Napoleon poezyi, tylą
Łez których nieraz pycha oku broni,
Tylą cierpień, co idą za szczęśliwszą chwilą,
Niby jéj cień — opłacił dar z niebieskiéj dłoni
Ach święto - okropny dar! — berła gienijuszu!
To z żaglem gwoli wiatrów za morze ucieka,
Gdzie gwar światła zgłuszonych nie doleci uszu,
I syn matki-przyrody błądząc nad grobami
Miast i narodów zmarłych, duma i wyrzeka;
To myśl jego, jak nurek Bahrejnu * utonie

* Bahrejn (*dwa morza*) tak się nazywa jedna z nadbrzeżnych prowincyj Jemenu. W bliskości jéj jest wyspa sławna połowem najpiękniejszéj wody pereł. Tam była złowiona największa z dotąd znajomych pereł którą Szah perski (r. 1633) kupił za 32,000 tómanów.

W głębie burźliwéj duszy; i walczy z wiarwi,
Z ciemnością — i zwycięzko wynosi złym ludziom,
Jasną, najdroższą z pereł na prawdy koronie,
Okropną rzeczywistość. I rzuca ją ludziom,
Jak psom kość, i znów tonie — dręczyć się i darzyć.
To na chwilę z cierpieniem przestawszy się swarzyć,
Uderza w inną stronę swéj lordowskiéj lyry,
Błyska żartami, niby słońce przez tumany
Jego mglistéj ojczyzny. I nigdy śmiéch szczéry,
Z serca do ust idący, nie rozjaśni czoła;
Smiejąc się, sarka. Czytasz, myśl skrzydłem anioła
Wylata w siódmym raju odwiédzić niebiany,
Albo ręką potężną pchnięta na dno piekła,
Tarza się w mękach piekieł. Klnę i błogosławię
Złości ludzkiéj co djabła oczyma urzekła
Serafską duszę wieszcza.
Bo dusza poetycka jest arfą Eola,
Milczą w niéj oniemiałe i zgoda i tony,
Aż póki wiatr silniejszy uderzywszy w strony,
Rozleje harmoniją na lasy i pola.

Naturalnym człowieka śpiewem jest śpiew tkliwy,
Nawet w radośnéj chwili. Zwłaszcza w naszym wieku,
Gdzie śmiać się zapomnieli, gdzie czas tak leniwy,
Gdzie czczość na łonie zbytku, nuda w zabaw steku.
Czemuż dziś tak ponuro? dziś kiedy mniemamy,
Żeśmy bliscy rzuconéj przed rozumem tamy?
Czy że gienijusz nauk, którego lot blogi
Miał nas wodzić drogami dotąd nieznanemi,
Życie nam uprzyjemnić, porównać nas z bogi,
Zwichnął skrzydła i z nami czołga się po ziemi?

Czy że nad nas wzleciawszy, stanął nieruchomy,
Między nami a słońcem i okrył nas cieniem.
Straciwszy światło prawdy błądzi człek poziomy,
Wzdycha za dobrowolnie zgubionym promieniem,
Co mu niekiedy błyska z pod piór gienijusza;
Gdzie spokojniejsze serce, swobodniejsza dusza,
Mniéj nauki, lecz więcéj szczęścia i prostoty.

Błogo Grekom! pod tegoż gienijusza wodzą,
Milej im dni się snuły ze wrzeciona prządek.
W jego darach i ulgę po trudach nachodzą,
I młodszą wyobraźnię, dojrzalszy rozsądek:
Widzą w machinie świata tajnych sprężyn mnóstwo,
Dla nich każdém ogniwem z utworów łańcucha,
I wstrząsa i kieruje opiekuńcze bóstwo,
Dla nich przyroda nie jest mannekin bez ducha,
Smierć ich nawet piękniejszą była nad śmierć naszą.
Nie przykrego widoku szkielet z kosą w ręku,
Lecz młodzieniec postaci kształtnéj, bóstwa w dzięku,
Z oczyma, których żywość łzy litości gaszą,
A łzy te nigdy jemu nie sechły na oku,
A przez te łzy on patrzał na niedole człeka.
W chwili zgonu przybywał niewidny w obłoku,
I gdy na wzrok śmiertelny spadała powieka,
Gdy się coraz mroczyło mdlejące spojrzenie,
Bez boleści, bez grozy, jak brat, jako sługa,
Pocałunkiem ostatnie z ust przyjmował tchnienie,
Rzekłbyś, że z ust kochanki ostatnia przysługa!

Kowno.
Lipiec r. 1825.

Z ROMEO I JULII

Trajedii Szekspira.

AKT II. SCENA II.

(Ogród Kapuletów)

ROMEO.

(wchodzi)

Kto rany nie odebrał, żartuje z żelazem.

(Julija ukazuje się w oknie).

Lecz stójmy, co to w oknie błysnęło zarazem?
To wschód słońca, a słońcem są Julii lica.
Wnijdź o prześliczne słońce, na zgubę xiężyca.
Już ta bogini zbladłe odwraca jagody,
Ujrzawszy nimfę ziemską, celniejszéj urody.

Przestań być nimfą bóstwa zazdrośnego tobie.
Nimfy Dyanny chodzą w zielonéj żałobie.
Zieloność barwa głupców — Porzuć modne stroje! —
To ona! moja pani! o kochanie moje!
Gdyby wiedziała że ją kocham tyle!
Mówi ale nie usty; zaczekajmy chwilę,
Mówi okiem; w mém oku odpowiedź gotowa.
O! zbyt chełpliwy jestem, nie do mnie to mowa.
Dwie gwiazdy w pilnéj kędyś posłane potrzebie,
Proszą oczu Julii, by raczyły w niebie
Świecić nim gwiazdy wrócą i znowu zaświecą.
I cóż, jeźli jéj oczy do niebios ulecą?
I cóż jeżeli gwiazdy błysną śród jéj czoła?
Blask Julii oblicza gwiazdy zacmić zdoła,
Jako dzień gasi lampy; a niebo jéj okiem,
Powietrzną jasność takim lałoby potokiem,
Że ptaki dzień w omylnym witałyby dźwięku.
Patrz, patrz, skronie anielskie złożyła na ręku!
Gdybym był rękawiczką, co jéj dłoń okrywa,
I mógł dotknąć się liców!

JULIJA.

O ja nieszczęśliwa!

ROMEO.

Mówi! o przemów jeszcze! tyś moim aniołem!
Ty śród cieniów północy świecisz nad mém czołem,
Jak wysłaniec niebieski, kiedy się roztoczy,
Srzebrzystém skrzydłem rażąc śmiertelników oczy.

Zaledwo spójrzeć śmieją, on dosiadł obłoku,
I lekko w napowietrznym żegluje potoku.

JULIJA.

Romeo! za cóż ciebie Romeo nazwano!
Wyrzecz się ojca twego, zamień twoje miano,
Albo mi serce oddaj; gdy serce twe zyska,
Julija Kapuletów zrzecze się nazwiska —

ROMEO.

Odpowiadać czy słuchać?

JULIJA.

Montegu! niestety!
Nazwanie tylko twoje razi Kapulety.
Za cóż osobę twoją wliczać między wrogi?
Ty nie jesteś Montegu, o Romeo drogi!
Bo i cóż jest Montegu? nie jest to zrenica,
Ani ręka, lub stopa, lub jaka część lica
Wrodzona człowiekowi — Montegu jest imie.
Niech je Romeo zrzuci, niechaj inne przyjmie.
Co po imieniu? Róża choć nazwisko zmieni,
Czyliż się mniéj powabnym kolorem rumieni?
Romeo choćby cudze sobie imie nadał,
Czyliżby swoje miłe przymioty postradał?
Zguba imienia szkodzić nie może osobie.
Za to imie oddaję całą istność tobie.
Za jedno tylko imie!

ROMEO.

Chwytam cię za słowo.
Bądź moją, a ja zaraz ochrzczę się na nowo,
I nazwisko Romea rzucam precz odemnie.

JULIJA.

Kto ty jesteś, i po co błądzący po ciemnie,
Mieszasz się w mowy cudze?

ROMEO.

O moje kochanie!
Ukryć przed tobą muszę imie i nazwanie.
To imie własnym moim jest nieprzyjacielem,
Jeźli stało się twojéj nienawiści celem;
I gdybym je napisał, podarłbym bez zwłoki.

JULIJA.

Znam ciebie! chociaż głosu twojego potoki
Ucho moje nie....
Tyś Romeo Montegu, znam dźwięk twojéj mowy.

ROMEO.

Ani jeden ni drugi, bo nie lubisz obu.

JULIJA.

Skąd, jak tutaj przyszedłeś? jakiego sposobu
Użyłeś aby zwalczyć tak mnogie przeszkody?
Zrąb wysoki i mocny zamyka ogrody;

Wiész kto jesteś, w tém miejscu grób znalazłbyś pewny,
Gdyby cię dójrzał ojciec lub który mój krewny.

ROMEO.

Mury te przeleciałem na miłości piórach,
Słaba dla niéj zapora w parkanach i murach.
Miłość umie wykonać na co się odważy,
Tym sposobem uszedłem Kapuletów straży.

JULIJA.

Jeżeli cię tu znajdą, legniesz z ich prawicy.

ROMEO.

Więcéj niebezpieczeństwa jest w twojéj źrenicy.
Niż w tysiącznych ich mieczach. Spójrzyj tylko mile,
A ja oprę się wszystkich Kapuletów sile.

JULIJA.

Ach! za światbym nie chciała, by cię tu ujrzeli.

ROMEO.

Płaszcz nocy mię ukryje od nieprzyjacieli,
Kochaj mię tylko, potém niech się groźba ziści.
Lepiéj jest koniec znaleść w cudzéj nienawiści,
Niźli w długim miłości niewzajemnéj zgonie.

* * *

BE OR NOT TO BE

z Szekspira.

Być, czy nie być: o to jest co rozważyć trzeba.
Czy szlachetniéj jest ściérpieć wszystkie gromy nieba,
Czy powstać przeciw losom i w dzielnym oporze,
Odwagą przemodz całe nawałności morze?
Umrzeć...zasnąć...nic więcéj. Zasnąć, przekonany
Że w tym śnie żadne serca nie zbudzą się rany;
Że wszystkim bólom, mękom, wieczny kres położem,
I jak udziału ciała, już ich czuć nie możem:
Ach! któżby takiéj śmierci nie chciał życzyć sobie?
Umrzeć....zasnąć....jak zasnąć? może marzyć w grobie...
Ta to czarna wątpliwość ta wszystko odmienia;
Bo ktoż wie jakie przyjdą nas dręczyć marzenia,
Wtenczas kiedy te ziemskie stargamy okowy,
I z nadzieją pokoju zaczniem sen grobowy?.

Ten to wzgląd zatrzymując dzielny popęd woli,
Tak długie życie naszéj nadaje niedoli.
Bo i któż chciałby znosić krzywd i obelg tyle:
Tę dumę coby wszystko chciała zdeptać w pyle,
Tę boleść, którą wzgarda miłości przenika,
Zwłokę praw, ucisk możnych, butność urzędnika,
Tę przykrą wreszcie twardość z którą podła pycha
Tak niegodnie cierpliwą zasługę odpycha?
Któżby to wszystko znosił, kiedy mógłby sobie
Najdrobniejszém żelazem kupić pokój w grobie?
Któżby chciał w jarzmie życia potem zlewać skronie,
Gdyby nie ta obawa czegoś tam po zgonie,
Tych krain nieodkrytych z których nikt nie wraca?
To nam wolą osłabia, to śmiałość ukraca,
Tak, iż wolim z losami walczyć obecnemi,
Niźli w niepewną przyszłość chronić się przed niemi.
Tak to łatwo sumienie odwagę pokona;
Tak bladością lękliwéj myśli powleczona,
Więdnieje żywa barwa postanowień mężnych,
Gasną wielkie zamiary w duszach niedołężnych,
Ledwie wzbite popędem, już zwrócone trwogą
Imienia nawet czynu dosięgnąć nie mogą.

F. M.

NA POWĄZKACH

PRZY GROBIE ŻONY.

Jakież życie otacza ciche śmierci pole!
Kilka kroków przedziela płochość i niedolę.
Ja nad drogim mi grobem łzy rozpaczy ronię.
Tam wszystko kwitnie w szczęściu i radością płonie.
Ach! ileż tam obrazów próżności przelata
Z całym dymem i wrzawą nawałnicy świata!
Grzmią rydwany stołeczne wzdłuż murów cmentarza,
Nie wstrzyma ich płacz sierot ni prośby nędzarza;
Jak gdyby nie mijali umarłych dziedziny,
I nie tu spoczywały ich ojce i syny.
O! żono, droga żono, matko moich dzieci!
Może mnie tam nie jeden błąd w twych oczach szpeci?
Możem niedość twym cnotom winnéj składał cześci,
Niedość kwiatów pociechy wplatał w cierń boleści?
Téj jednéj przecież krzywdy nie wyrządzę tobie
Bym łzy żalu na twoim nie zostawiał grobie.
Niechaj inni od przykrych im pamiątek stronią:
I by uciec wspomnieniom za nadzieją gonią;
Dla mnie całą rozkoszą opłakiwać ciebie,
Tu cię szukać mym żalem, a nadzieją w niebie.

F. M.

DO LUTNI.

Lutni moja, ty z powicia
Chwil najsłodszych mego życia
Towarzyszko! z którą w ręku,
Jak niegdyś trubadur młody
Pełen nadziei, swobody,
Przebiegłem rajskie ogrody
Młodości, miłości, przyjaźni.
Ty! przy któréj tkliwym dźwięku,
We mgle rannéj wyobraźni,
Jak duchy wietrznéj krainy,
Pół w marzeniu, pół przytomnie,
Przetańczyły ach! koło mnie
Smiejące się me godziny.
Lutni! któréj dźwięk wesoły,
Wpośród biesiad z przyjacioły.
Niewinnego żartu śmiechem
Lub szczerszych oklasków echem.

Tłumił się tylko jedynie:
Któremu w tkliwszéj godzinie
Nie raz ach! odpowiadały
Wdzięczny uśmiech, wzrok nieśmiały,
Lub westchnienie półtajemne,
Albo słówko półwzajemne,
Albo żywsze serca bicie,
Droższéj mi nad świat i życie.
Ach czyż tylko szczęścia nóty,
Grać umiałaś z młodéj duszy?
Czy westchnienie méj tęsknoty,
Nigdy strón twych nie poruszy?
Zabrzmij, zabrzmij, moja lutni!
Lecz już smutniéj, coraz smutniéj.
Bo dziś smutne serce moje,
W obcéj ziemi, bez nikogo,
Coby znał mą przeszłość drogą,
Coby za nią żal podzielił,
Jéj wspomnieniem rozweselił
Lub pociechy zlał mi zdroje.
Łzy mi tylko ulżyć mogą,
Łzy niech budzą pieśni twoje.
Długoż mam, wsparty na tobie,
Jak posąg smutku na grobie,
Nieśmiałém tylko westchnieniem
Gonić za szczęścia wspomnieniem?
Ach! westchnienie wiatr zagłuszy!
Lutni! twoje tylko tony,
Mogą czucia mojéj duszy
Do rodzinnéj zanieść strony.

Tam je orszak przyjacieli,
I zrozumie i podzieli.
Tam może moja jedyna,
Co mnie ze łzami wspomina,
Słysząc w swéj wiejskiej ustroni,
Twoje, lutni, pieśni o niéj,
Znajdzie ulgę w tęsknéj chwili,
I choć jeszcze los nas dzieli,
O przeszłości wspomni miléj
W ciemną przyszłość spojrzy śmieléj.
Jakiż dźwięk brzmi do okoła?
Lutni, lutni! tyś ożyła.
Pieśń co ją pocieszyć zdoła,
Niechby choć łabędzią była!

* * *

MUZYKA.

(WIERSZ LIRYCZNY).

Music alone with sudden charms can bind
The wandering sense, and calm the troubled mind.
CONGREVE.

Muzyko, matko pieśni, poezijo ucha!
Ty cierń życia potrząsasz niebieskiemi kwiaty,
Ty piérwsza ogniwami myślnego łańcucha
Powiązałaś z tą ziemią niewcielone światy.
Poezijo! miłości! muzyko! wy same
Jak trzy gracije piękne, greckich zmyśleń dzieci,
W wieńce żelazną losów stroicie nam bramę,
W blasku odbitym od was i świat piękniéj świeci.
Was na ziemi od wiecznéj by zachować zguby
Same niebo związało troistemi śluby.

Nie raz, kiedy zemdlone lotami długiemi,
Sród błyskawic nadziei a gromów rozpaczy,
Skrzydło miłości ciężyć poczyna do ziemi:
Gdy miłość po raz piérwszy ze wstrętem obaczy,
Miejsce swoich, rozkoszy swych uciech pogrzebu,
Wnet poezija skrzydła tęczowe roztoczy,
I po długiéj niepogód i nieszczęść kolei
Obłąkane jéj loty kieruje ku niebu.
A u bram niebios anioł muzyki uroczy
Nóci podróżującym wielki hymn nadziei.

Muzyko! ty nad wszystkieś wyższa talizmany:
Tajemnicza jest siła twojego uroku.
Bo twój język i niebiany,
Swiat i ludzie rozumieją.
Choć nam ziemskość głos twój głuszy,
Ty na strónach naszéj duszy,
Grasz rozpaczą i nadzieją:
I w nas budząc naprzemiany,
To żal w sercu, to łzy w oku,
W harmonijne zlewasz brzmienia,
Słodką nótą rozrzewnienia,
Słodszy od niej głos litości,
I najsłodsze „ach" miłości.
Szczęśliwy kogo uczuć melodija wzruszy,
Lecz ten szczęśliwszy! czyjéj stróny duszy
Same tą muzyką brzmiały!

Muzyka budzi w nas czasem,
Żądze wojny, żądze chwały:
Patrz na te szerokie błonia,
Najeżone włoczni lasem,

Wojennego rżenie konia,
Wojennego miecza szczęki,
I wojennéj trąby dźwięki,
Budzą echa po dąbrowach.
Patrz! jak wiatrem potoczone
Płyną fale szeregami;
Po dolinach, po parowach,
Wyciągnięte linijami
Płyną tłumy uzbrojone.
Spieszą, spieszą na plac boju,
Już zaczernił pył ich czoła;
A na czole kropla znoju,
Jakby kropla rosy świéci.
Wtém głos wodza „stój!" zawoła.
I stanęli jakby wryci.
Cicho, głucho na około
Słowa do się nie mówili,
I w ich sercach nie wesoło.
Wzrok schylony ich do ziemi.
Smutni — zda się że w téj chwili
Skrzydło śmierci archanioła,
Przeleciało już nad niemi.
Wódz skinął ręką — i w bębny zagrali.
Wtém jak szmer wiatrem wzburzonéj fali,
Szczęki miecza, brzęk pancerzy,
Głośniéj, daléj, łoskot szerzy.
Już i serce wojownika,
Co raz prędzéj, prędzej bije,
Żądzą wojny serce bije,
A wojenny tłum wykrzyka:
Niechaj wojna, wojna żyje!

Biją w kotły, grają w trąby,
I działa zagrzmiały,
A ogniste kule, bomby,
Jak ogniste ptaki,
Przez powietrzne szlaki,
Z szumem przeleciały.
Poszli na boje i rzezie,
I z pochew miecze dobyte błysnęły,
Szczerbią miecze na żelazie,
I krwi strugi wytrysnęły.
Szczęk żelaza, wrzask walczących
O! i działa grzmot ponury,
I cichy jęk konających,
W jedną harmoniją się zlewa,
W jeden hymn posępny — który
Do dzikiego wabiąc męztwa,
Swym kochankom wojna śpiewa:
I jedną nótą, kopiąc dla nich groby,
Walczącym w boju gra toast zwycięztwa,
A konającym requiem żałoby.

Muzyki urok nietylko zwycięża,
Walczącego w boju męża,
Nie tylko serca wojenne zapala:
I szwajcarskiego górala
W słodkie więzi obłąkanie,
Gdy piosnki ojczystéj dolecą go brzmienia,
Wpada w letarg zamyślenia,
I usypia na skonanie.

Dzień w wieczornym ciemnia zmierzchu,
Pirenejskie mglą się góry,
Słońce świeci na ich wierzchu;
Barwą złota i purpury,
Coraz ciemniał pomrok szary;
Przez głębokie, dzikie jary
Szedł wędrowiec zamyślony,
Szedł bez celu i bez drogi,
Kij mu drżące wspierał nogi,
Włos miał wiekiem ubielony.
Piękny obraz natury jeszcze go zachwyca,
Lubi Szwajcar w jéj piękne wpatrywać się lica.
Bo piękna wzrok mu wabi okolica,
Jak krajobraz malowany;
A przed nim stoją góry jak olbrzymy lodu,
Śniegiem okryte ich ściany;
Z wiérzchu zima — a u spodu,
Wiosna kwitnie i kwiatów tysiące się kwieci,
Jak u nóg starca igrające dzieci.
Piękna ziemia południa jego wzrok przynęca,
Po łąkach wabią kwietne wiosny malowidła
Lecz on z oczyma smutnemi
Posępniejszéj, dzikszéj ziemi
Wszystkie swe myśli poświęca.
Na jedne Pireneje pogląda z roskoszą,
Ich mu widok szwajcarskie przypomina góry:
Gdzie mgły siwe, czarne chmury,
Jak żałobne sępów skrzydła
W koło nich i ponad niémi
To wiszą, to się unoszą. —

Szedł wędrowiec i idąc spoziérał w około;
Wtém wieczoru chłodna rosa,
Z gwiazdy lecąc przez niebiosa,
Z lekka spadła mu na czoło;
Poczuł starzec tę łzę nieba:
Radby, czuje że potrzeba
Ją ze swemi zmieszać łzami..
O! kiedyś płakać te oczy umiały.
Lecz przygasłe dziś z latami,
Już je dawno wypłakały.
On płakał, gdy dom żegnał idąc w kraj daleki!
Dziś oddalony od swoich na wieki.
Wędrowiec myślał, o jakże ten błogi!
Kto żyć może między swemi,
Wrócić z wygnania na rodzinne progi
Kto może umrzeć na ojczystéj ziemi.
I daléj dumał — aż wtém po błoni,
Góralskiego flet pasterza
Wędrowca ucho uderza,
I piosnkę jemu szwajcarską zadzwoni.
Wędrowiec stanął — i uchem zdaleka
Łowi w powietrzu rozwiane jéj dźwięki;
Gdy poznał nótę ojczystéj piosenki
Duma i cały w myślach się zacieka.
Góralska piosnka skonała,
Szwajcar ją w myśli donócił,
Oczy ku niebu obrócił,
Twarz wędrowca pobledniała,
Rzucił kij, załamał dłonie,
Do serca przyłożył rękę,
Potem na północ, ku rodzinnéj stronie

Spojrzał i westchnął — O! w tém westchnieniu
Mówią że dusza wędrowca
Na nocnéj gwiazdy promieniu,
Dośpiewując tę piosenkę
Aż do nieba uleciała.
I w parowie śród manowca,
Długo, długo martwe ciało
Niepogrzebione leżało.
Nie cięży nad nim mogiła:
Wznieść mogiły niému komu.
Aż nim lawina ze szczytu opoki
Strącona łoskotem gromu,
Spadła — i nagle Szwajcara zwłoki,
Snieżnym całunem przykryła.

Muzyko! ty nad wszystkieś wyższa talizmany.
Bo twój język i niebiany,
Swiat i ludzie rozumieją;
Choć nam ziemskość głos twój głuszy,
Ty na strunach naszéj duszy,
Grasz miłością i nadzieją.

Młodzieniec i dziewica z dzieciństwa się znali,
On pisał czułe i tkliwe piosenki,
W nich sławił urok jéj głosu, jéj wdzięki,
Nieraz je razem oboje śpiewali.
I razu jednego, gdy piosnkę nócili,
Już nie śpiewaniem, lecz sobą zajęci,
Tak się oboje w myślach zatopili,
Że słowa pieśni wypadły zpamięci.

I twarz dziewicy nagły zakwiecił rumieniec,
Jak szkarłat wschodu na śnieżnym obłoku,
A przy niéj stoi milczący młodzieniec,
Tylko wzrok utkwił w jéj błękitném oku,
W którém jak na fijołku perląca się rosa,
Z razu mała i coraz większa łza błysnęła,
Aż przepełniona po rzęsach spłynęła,
I wpadła w pierścienie włosa.
Czemuż po długich znajomości latach
Po raz piérwszy w śpiewaniu dziewica się miesza,
Czy jéj natrętném przeszkadza spojrzeniem?
Cóż jéj stąd? że jak motyl swe skrzydła na kwiatach,
On swoje na jéj licach spojrzenia zawiesza?
Długo milczeli — czasami westchnieniem
Przerwą milczenie — ich wzrok jak przykuty
Tkwi w jedném miejscu nieruchomie, smutnie,
Ledwo ich usta piosnkę dośpiewały,
Już ich dusze, jak dwie lutnie,
Zgodnie do jednéj nastrojone nóty
Jeden hymn miłości brzmiały.
Młodzieniec był szczęśliwy — kochany wzajemnie,
Mógł liczyć długie chwile szczęścia i wesela—
Szczęśliwy kto miłości nie żebrał daremnie!
Młodzieniec pragnął za wiele,
I myśliwa jego dusza
Dalsze i większe polowała cele.
On skromny wieniec Minstrela,
Chciał zmienić w laur Tyrteusza.
Wprzódy śpiewał kochance, dziś przez cnoty bliźnie
Chciał śpiewać ziomkom, ojczyznie.

Choć myślą pożegnania nieraz duszę krwawił,
Wzrok oderwał od kochanki,
Lecz przy niéj serce zostawił.
I z lutnią wstąpił w bojownicze szrańki.
Wnet pożar wojny wszystkie mu czucia wypali!
Zaledwo zdążył w marsowe przegony,
Poszły w niepamięć rodzinne strony
I chłodniéj serce biło z pod stali.
Łzawa, miłośna wzroku błyskawica,
Melancholijna jak promień xiężyca,
W surowém zgasła spojrzeniu;
Usta odwykły westchnieniu,
A ogniem grozy iskrzyła źrenica.
Któż ci młodzieńcze ze snu zapomnienia
Dawne, dalekie obudzi wspomnienia?
Raz pośród uczty, z powagą na czole,
Młodzieniec w rycerskiém kole
Rycerskie dogrywał hymny;
I gdy już ręka mdlejąca
Po strunach lutni błądziła,
W tém ostatnią strunę trąca
I nótę z niéj wydobyła.
Młodzieńca dreszcz przejął zimny,
Lutnia zadrżała mu w ręku,
Bo w téj jednéj struny dźwięku,
Była nóta piosenki, co jego kochana
Spiewała mu wtórując dźwiękiem fortepiana!
Młodzieniec zbrojne porzucił turnieje.
Wprzód wojenną sławą grzany,
Przystrajał lutnię na wznioślejsze tony,
Dziś żywił milsze i słodsze nadzieje,

I wrócił znowu w znajome strony
Gdzie kochał i był kochany!
Czemuż mu serce zięby tajemnicza trwoga?
Gdzie twa luba, twoja droga?
Już twa luba śpi w mogile
Nieprzespane, wieczne chwile;
Chyba trąba archanioła
Ją z zimnego snu wywoła.
Jakże cię boli jéj strata!
Wyrzekasz się ludzi, świata;
Już w rozpacznych myślach cały,
Gdzie las dziki, strome skały,
Na przepaści stojąc progu
Bluźnisz życiu, bluźnisz Bogu.
Słuchaj! oto pieśń słowika
W melodyjnéj tęsknéj nócie
Tęskne w sercu budzi czucie.
Słuchasz! głos jego duszę ci przenika!
I rad roisz tę piosnkę co twoja kochana
Spiewała ci wtórując dźwiękiem fortepiana.
Boleść milcząca, ponura,
Przed tchnieniem pieśni wionęła,
A czarna rozpaczy chmura,
We łzy się rozpłynęła.
Młodzieniec pocieszał drugiém życiem siebie,
Roił niebieską chwilę powitania,
I marzył naprzemian w godzinach dumania
To o lubéj, to o niebie!!.

Muzyko! błogo temu, śród rozpaczy szału,
Komu twojéj powieje harmonii skrzydło;

Kto wtedy myślą wzleci w sferę ideału,
I w niéj zmarłych nadziei wskrzesza malowidło.
Wtedy, jakby z ziemskiego odarta pokrycia,
Zabrzmi dusza drugiego melodiją życia!
Ach! jedne tylko ucho cię dosłyszy,
Ów hymn harmonii, który
Nócą gwiazdzistych miryjadów chóry.
Gdy wtórując ich nócie o północnéj ciszy
Dla eterowych światów zabrzmi Lira nieba *
Są to sny wyobraźni — a w nie wierzyć trzeba
By w drugiém je sprawdzić życiu;
Marzy je dusza po długiém czuwaniu
Męk i cierpienia — a cierpiąc w ukryciu,
W tém religijném dumaniu,
Wierzy że wszystko stracone odzyska,
Znów się ze swemi zobaczy;
Nieśmiertelności gwiazda jéj błyska,
W nadziemskie życie ulata,
I nie śmie dziką nótą rozpaczy
Mieszać harmonii świata! —

JULIJAN KORSAK.

* Lira tak nazwana konstellacya — Astrologowie wiele jéj własności przyznają. Niektóre z nich są wspomniane przez Pontana w jego Uranii.

..... Ecce novem cum pectine chordas
Emodulans, mulcetque novo vaga sidera cantu,
Quo captæ nascentum animæ concordia ducunt.
Pectora — etc.

CO MI TAM!

CZYLI

Poranek starego myśliwca.

Dawno ze snu myśl wybita,
To uroki! — Cóż u licha!
Czy też kiedy tam zaświta?
Noc i noc — a ciemna, cicha...
Swita, świta, pieją kury!
Swita, świta, rzedną chmury!
Dobra nasza! niema grudy,
Snieżek pruszy, przednie pole!
Można jakoś zabić nudy,
Choć ladaco mgła na dole.
Ho gajowy!
Czas na łowy,
Wstań no, wstań no, pójdź tu sam!
Co mi tam!

Co tchu, na łeb, ruszaj stary!
Zabrać jeszcze strzelców kilku,
Z cicha trąbić na ogary,
Niechcę kota, myśl o wilku;
Lecz ostrożnie, lecz pomału,
Bez hałasu, bez wystrzału,
Zajdź czahary z boku, blisko,
A gdy staniem na wygonie,
Trop — i hężha! na ściernisko...
Hola, hola! siodłać konie!
Cóż tam goście,
Jegomoście!
Spią, czy nie spią — bah, bah, bam!
Co mi tam! —

O dzień dobry! jakże zdrowie?
Jak się macie? czy się spało?
In gratiam was panowie,
Rozryweczkę zrobię małą;
Bo cóż w chacie tu wyśnicie?
Lepsza w polu myśl o świcie,
Żwawo, żwawo zwiedzcie głowy!
Jazda przednia, niedaleka,
Cały przybór już gotowy,
Psy i konie — wszystko czeka...
A śniadanie,
Na co stanie,
Po myśliwsku, na pniu dam.
Co mi tam!

O bodajto młodość święta!
Człek był zawsze wesoł, zdrowy,
Czy spał kiedy, nie pamięta,
Ani smutku, bolu głowy,
A bywało w polu z młodu,
Od północy, do zachodu,
Tak to, tak to! — Źle się dzieje!
Żal się Boże lepszych czasów,
Zwierza, ptastwa pełne knieje,
A jak wróbli, tak bekasów;
Gdzie nie strzelę,
To ucelę,
Co pomyślę zaraz mam!
Co mi tam!

Miałem strzelbę przyjaciółkę,
Pojedynka, zamek tylki,
A w pęd kota, w lot jaskółkę,
Fraszka, główkę zbić u szpilki,
Jak to było! jak to było!
Aż pomyśleć słodko, miło,
Ha ha! ha ha! co to, co to!!
Inne czasy, inni ludzie!
Mówię prawdę szczérozłotą,
A słuchacie jak o cudzie.
Gdzie to z wami,
Gnuśnikami!
Darmo, darmo prawić wam.
Co mi tam!

Bo też jakie wasze życie!
Jakie młodych dziś roskosze!
Co wy znacie! co widzicie!
Nasze łowy widzieć proszę,
Bracławskiego Wojewody!..
To nie łowy, istne gody!
Co to beczek miodu, wina,
Jak to w lesie, noc — pokotem,
Jaka psiarnia! a drużyna...
Ale chłopcy potem o tem,
Rży mój siwy!.
Długogrzywy,
Spieszę, spieszcie — ja go znam.
Co mi tam!

Otoż w polu! cóż koniki!
Wszakże nie złe! — swego chowu:
Mój bułany trochę dziki,
Wielka szkoda! niéma rowu,
Jak się stuli, a da susa,
Aż gorąco, aż pokusa!
Mówią stara krew nie gore,
To nie prawda: — po tę miedzę,
Nuże cwałem na przekorę,
Jeźli wszystkich nie wyprzedzę.
Ależ moi,
Co się roi!
Po co stary szaléć mam?
Co mi tam!

Och! gdy pojrzę tam po lesie,
Na te wzgórki, po nizinie,
Na złość pierś mi się podniesie,
Na złość oko łzą zapłynie!
Otoż macie!... Łza się kręci,
Co minęło, to w pamięci;
Przyjaciele, bracia, krewni,
Wszystkich widzę jak na dłoni,
Coraz sercu ciężéj, rzewniéj,
Myśl za myślą w grobach goni...
Stańmy nieco,
Niech przelecą!
Już mi lepiéj — czuję sam.
Co mi tam!

Co się stało, nieodstanie.
Cóż? że liścia wczas opadną!
Smutek, płacz i narzekanie,
Jeno w dumce słyszeć snadno!
Mówcież, chcecie? wnet piosenka,
Chmielnickiegoż? Doroszenka?
»Ciężko, ciężko ach przed nami,
»Pan Chmielnicki zawinił!
»Że ów pokój z Polakami,
»W Białéjcerkwi uczynił," *
Nie w takt płączę,
Lepiéj skończę,
Pan Chmielnicki! bardzoż dbam!
Co mi tam!

* Dosłowne tłómaczenie pieśni gminnéj.

Lecz panowie, co się stało!
Gdzie to naszych dum połowa?
Zaporożskich dziś tak mało!
A miłośna ta lub owa,
O trzech zorzach, trzech krynicach;
Siedmiu wodzach, stu dziewicach,
Rzekłbyś: — że te dumy z laty,
Przenuciwszy błogie chwile,
Przenuciwszy smutne straty,
Z ludźmi głuchną gdzieś w mogile;
Czasem tylko,
Smutną chwilką,
Nuta na myśl przyjdzie nam,
Ale i to! co mi tam!

Jak widzicie rzęd topoli...
Niegdyś dwór tam stał na lewo,
W nim czcigodny żył Podstoli,
A miał córę czarnobrewą.
Przywitała jeno skromnie...
Słówko rzekła — i już po mnie.
Długie były zalecanki:
Z panną rzeczy szły niezgorzéj,
Ależ matka podstolanki,
Coraz bardziéj mi się droży;
Droga bita,
A więc kwita,
I rzuciłem drogi kram,
Co mi tam!

Łatwe dzisiaj, łatwe żarty,
Łatwo mówić, jednakowo
Zapalony, malowarty,
Ani rady z młodą głową.
W polu nudno, smutno w domu,
A więc na świat pokryjomu,
I jak w dumce, gdzieś przez łany
Na Zaporoż, do Mazepy,
Pędzi Sokol rozkochany, *
Pędzę, lecę — stepem w stepy,
Za dziewczynę,
Na ruinę,
Oślepiony lecę sam,
Co mi tam!

Był to jakoś czas rozruchów,
Więcże daléj do szabelki;
W oblężony wpadłem Głuchów,
A w Głuchowie kłopot wielki.
Nic że wrogów stokroć więcéj,
Ale niepić pięć miesięcy,
Bośmy wszystek miód wypili;
Kropli wina w mieście niéma,
Do złéj wody aż pół mili,
A tu głodno — idzie zima.
Tandem rada,
Woła — zdrada!
I do miejskich hurmem bram,
Co mi tam!

* Alluzya do znanéj na Ukrainie dumki gminnéj o kozaku Sokole.

Odtąd z biédy w biédę brnąłem,
Zahukany pośród tłumu,
Jeszcze z sercem niewesołem,
Darmo wołać do rozumu,
Jakby w nocy pragnąć słońca,
Trzeba ciérpieć, czekać końca.. —
Ale patrzcie! co to zdala?..
Sadzi susy tam, tam nisko,
W prawo, w lewo się przewala,
Wszak do kata! to wilczysko,
Co raz bliżéj,
Co raz chyżéj,
Prost do lisich tropi jam!
Co mi tam!

Nuż panowie prędzéj z koni!
Rozbiegnijmy się o stają...
Wszak to strzelcy? oni, oni!
Ja za jawór się zaczają.
Czy słyszycie psów łajanie?
Jakie głosy, głosy Panie!
Gruby Graja, cieńszy Śpiewki!. —
Dobrze, dobrze w czas ucichło!...
Wsypać prochu do panewki —
Na cel — na cel — sza! — za rychło —
Niech, niech biegnie,
Trupem legnie,
Tysiąc stawię wam za sto,
Palęż, ho! — oto mi to!

J. B. Zaleski

ŚWIĄTYNIA SZCZĘŚCIA.

Równie jak wszystkie Bogi i Bogini,
Szczęście ma swoję świątynię.
Lecz się od innych różni jéj budowa:
Wysokim szczytem nie sięga obłoków,
Okropnych światu nie głosi wyroków;
W cichém ustroniu się chowa.
Zaledwie ludzie wieść o niéj powzięli:
Przez przepaści nieprzestępne,
Przez góry, skały, i lasy posępne,
Hurmem się do niéj cisnęli.
Potężny mocarz wśród żądz niespokojnych,
Co się krwią ludów okolicznych zmazał,
Przybył najpiérwszy z milijonem zbrojnych;
Szturmem ją zdobyć rozkazał.

Ale straszliwe mocarza oręże,
Jakaś nieznana moc nagle odpiéra:
Poznał że nigdy szczęścia nie dosięże,
Ten co je innym wydziéra.
Z głębi swych gmachów z niezmiernym pośpiechem,
Dąży tuż za nim Krezus znakomity;
I zdala swoję wywodząc zaszczyty,
Zbliża się do niéj z uśmiechem.
Chce złotym kluczem otworzyć świątynię,
Wciska go — kręci — coraz silniéj wtłacza:
Gdy w tym na twardéj pękając sprężynie,
Kruszy się w ręku Bogacza.
Tąż samą drogą i w tąż samą stronę,
Gdzie już tyle śladów było,
Sercem i młodą ufnością wiedzione,
Dwoje kochanków dążyło.
O jakże pewni swego szczęścia byli!
Lecz ktoż się łatwiéj w swych nadziejach zdradzi!
I kiedyż miłość do szczęścia prowadzi!
Już na pół drogi zbłądzili.....
Gdzie spojrzą — same zawady!
Groźne skały i urwiska,
Wśród przepaści droga ślizka,
I zbłąkanych ofiar ślady.
Tyle wreście smutnych zdarzeń,
Spotykali po kolei,
Tyle rozproszonych marzeń,
Tyle rozbitych nadziei:
Iż z ciężką serca żałobą
Wrócili, płacząc nad sobą.

Długo, i długo te pielgrzymki trwały,
Zawsze ktoś nowy przybywał;
To się filozof, to próżniak zuchwały,
Do drzwi świątyni dobywał.
Z starym się wiekiem prześcigał wiek młody,
Dziécię co ledwie umié się spodziewać,
A nawet wieszcze co swojemi Ody
Chciały się szczęścia dośpiewać.
Lecz wszystkich jedna trzymała zawada,
Żadne jéj siły nie zmogły,
Ni łzy, ni prośby, ni przemoc, ni zdrada
Świątyni zdobyć nie mogły.
Aż kiedy całe odeszło już grono,
Zbliżył się człowiek chęci dobroczynnych;
Przybył upraszać o szczęście dla innych.
I po prostu go wpuszczono.

F. M.

BAJKI.

KURA.

Piérzem, sierścią czy szatą okryte istoty,
Na wszystkich cięży ta sama natura,
Wszystko to jedno czy człowiek czy kura;
Każdy ma swoje kłopoty.
Człowiek się biédzi poprawą swéj doli,
Kura z swym jajkiem mozoli.
On na niewierną się skarży,
O niéj kogut zapomina;
On płacze na cios potwarzy,
Ta stare kwoki przeklina.
Śmierć ich nawet równa czeka,
Sprząta kurę i człowieka.
Ale mówmy o kurze. Jedną z nich niebogę
Podobno w Czerwcu, ile pomnąć mogę,

Trapiły jakieś niepojęte smutki,
Jakaś skłonność do dumania,
Kurzego losu zgłębiania,
Niewiedzieć z jakiéj pobudki.
Nie była to żadna boleść, ni zgryzota,
Ni żal po zmiennym kogucie,
Lecz raczéj jakaś głęboka tęsknota;
Jakieś posępne przeczucie.
I właśnie takie jak owéj nieboszki,
Kokoszki!

Chcąc więc raz przerwać ów smutek głęboki,
Skrycie pod chłodny wcisnąwszy się murek,
Patrzyła sobie na igraszki, skoki,
Dziobiących synków i córek.
Ale kiedy tak spokojna i cicha,
Siedzi sobie nieszczęśliwa,
I raz po raz wzdycha;
Ni ztąd, ni zowąd nagle się porywa,
I do góry wjedną stronę,
Trzymając oczy wlepione,
Jakby wielkim strachem zdjęta,
Cofa się, kwoczy, umyka
I do kurnika
Zwołuje swoje kurczęta.

Koguty co w tym przestrachu,
Widziały ją z dachu,
Zadumione tą jéj trwogą,
Pojąć jéj nie mogą.

Patrzą, i patrzą po niebie,
Nareszcie mówią do siebie:
Co się to stało téj kurze,
Co ona widzi tam w górze.
Kwoczy, kwoczy jak w malignie,
Przecież i my oczy mamy
Jak możemy, wytrzyszczamy,
A nic nam się ani mignie.

Ale kiedy tak i mówią i szydzą,
Nagle w górze widzą
Jakiś punkt czarny, ale tak wysoko,
Że go zaledwie mogło dostrzedz oko.
Punkt ów po chwili niby widoczniejszy,
Niby coś większy, czarniejszy,
I znowu większy, i większy się zdaje,
Jak mucha, robak, już prawie jak jaje.
A gdy tak każdéj minuty
Coraz się bardziéj pod-
[illegible] koguty.
A z owéj muchy, robaka i jaja,
Z owego punktu co był oku niedosiężny,
Zrobił się jastrząb potężny.
A więc w nogi, hałas, wrzawa,
Straszna z jastrzębiem rozprawa.
Kura, koguty, kurczęta,
Wszystko zmyka
Do kurnika,
Ale już droga odcięta.

Okrutny jastrząb prześcignął je w pędzie,
Żaden się przed nim nie schronił,
Dobrze zmykały, lecz on lepiéj gonił;
Wszystkie wydusił na grzędzie.

Gdzie idzie o dziatki,
Czegoż tam oko nie dostrzeże matki!

F. M.

SŁOWIK I KROLEWIC.

W pośrodku wiosny, w najpiękniejszym maju,
Młodziuchny xiąże wraz z swoim mentorem,
[illegible] w gaju.
Rzadko natura takim wdzięków zbiorem,
Jedno ustronie okrywa;
Przecież jak to często bywa,
Wszystko nudziło xięcia jegomości,
Taka to korzyść wielkości.
Kiedy w tym nagle słyszy głos słowika,
Nieznana dotąd radość go przenika.
A choć dziécięciem,
Że jest xiążęciem,
Już mniema, że wszystko może,
Złapię go, woła, i do klatki włożę.

Ale słowiczek takich nie lubi igraszek,
I gdy on niebacznie
Zbliżać się zacznie,
Zerwał się ptaszek.
Zkądże to, rzecze, rozgniewane dziecię,
Ta niesłuszność w świecie.
Że ta ptaszyna tak dobra i czuła,
W tych się lasach tuła.
A na naszym pałacu tyle wróbli siada,
Cóż ich tak silnie do tych murów wiąże?
A mentor na to tak mu odpowiada:
Jest to dla ciebie przestrogą mój xiąże;
Byś w tym przykładzie już widział zdaleka,
Co cię kiedyś na tronie ojca twego czeka;
Że podłość do drzwi twoich nie przestanie pukać,
Zasługa się zaś kryje i trzeba jéj szukać.

F. M.

OSIEŁ, MAŁPA I KRET.

Gorzko raz osieł narzekał na Bogów,
Że wprawdzie pięknie stworzony,
Lecz że do obrony,
Nie dały mu rogów;
Że go ztąd każdy i dręczy,
I męczy.

Kijem, jukami okłada,
Słowem, jak na osła wsiada.
Oj gdybym kiedy dostał je w podziale,
W straszliwym ryknął zapale,
Dopieroż-bym to przy moim rozumie,
Pokazał światu co to osieł umie.

Z drugiéj strony, w cieniu krzaczka,
Siedziała małpa zmartwiona;
I płakała nieboraczka
Że jéj nie dano ogona.
I cóż ja poczną, biedna, nieszczęśliwa,
(Tak się w swym żalu odzywa)
Ja skrzywdzona tak niegodnie!
Ni sobie wstydu oszczędzić,
Ni się czém muchom opędzić;
Ni nawet usiąść wygodnie.
A wreście jakże nie mruczeć na losy,
Na te okrutne niebiosy!
Widząc do koła ogonów tak wiele!
Samaż go tylko mam wzywać daremnie,
W czémże ta owca, lub to głupie ciele;
W czémże są lepsze odemnie?

Ciągle, i ciągle trwały te rozpacze,
Ośle ryki, małpie płacze,
Gdy je w tém nagle jakiś głos surowy,
Temi skarcił słowy:
Ciszéj nikczemne niebianów oszczerce,
Gdzieś tam kret ślepy krzyknął na uboczu,
Komuż to lepiéj, ochydne bluźnierce!
Wam bez rogów, ogonów, czy też mnie bez oczu?

Jakżeby często powtarzać to trzeba,
Co nam ta bajka wymienia;
Nim o twe losy będziesz skarżył nieba,
Spojrzyj na bliźnich cierpienia.

F. M.

DZIECI.

Gonili się raz dzieci na wiejskiém podwórku,
Szło o to kto najpiérwszy z nich stanie na wzgórku.
Antoś co do najżwawszych chłopczyków należał,
Wszystkich zrazu wyprzedził i jak strzała bieżał;
Gdy wtém upadł biédaczek i nim wstał, niestety!
Drugi za nim dążący już dobiegł do mety.
A więc w płacz i do ojca .... a ten go na stronę,
Nie płacz drogi Antolku, nie wszystko stracone.
Jeden cię wprawdzie chwały pierwszeństwa pozbawił,
Lecz za to jakżeś wielu za sobą zostawił.

F. M.

KOT I BASIA.

Nigdy się kotek swojéj nie zbędzie natury.
Zjadały Basi sadło i myszy i szczury;
Wsadziła więc Filusia: i cóż ztąd wypadło?
Zjadł naprzód szczury, myszy, a potém i sadło.

F. M.

Wyjątek z Jusma

O PIEŚNIACH LUDU.

Piérwszym rysem spólnego Słowian charakteru, jaki między naszym ludem napotykamy, jest owa nieustająca gotowość natchnienia do pieśni, i ztąd pochodzące ich mnóstwo. Jak inni Słowianie, wieśniak polski śpiéwa zaraz byle cokolwiek był wesoły, śpiéwa najwięcéj pieśni z własnego natchnienia, które w miarę wzrastającéj fantazii staje się bujniejszém. Obyczaj ten jest powszechny. Wszystkie dzisiejsze pieśni naszego ludu powstają śród biesiad hucznych, najwięcéj śród wesel i innych podobnych zabaw złączonych z muzyką i tańcami. Zebrane stosowne oko-

liczności, jako to: uroczystość obchodu, obecność wielu osób, mocne napoje, muzyka, zapalają fantazyję, podnoszą wyobraźnię, i budzą natchnienie. Przydajmy do tego konieczność śpiewu, którego obchód podobny wymaga, a poznamy źródło owych niezliczonych piosneczek krótkich, zwanych pospolicie Krakowiakami, które na całéj przestrzeni dawnéj Polski wzrastają. Jako owoce chwilowego natchnienia, nietylko że pospolicie są krótkie, dwu a najwięcéj cztérowierszowe, ale ztąd także i różnéj wartości. Wszakże pochodzące z prawdziwego natchnienia i uniesień czucia, nie nikną z brzmieniem głosu; całe zgromadzenie je powtarza, i nie jeden przy podobnéj zabawie odśpiéwuje.

Przez te zabawy rozchodzą się one po całym kraju, inaczéj u ludu naszego niewędrownego upowszechnićby się nie mogły. Pieśni te są równie ozdobą zabaw szlachty, mianowicie niższéj, jak włościan, i podobnie jak u tych ostatnich powstają. Stanowią one wyłącznie prawie poezyję narodową, i obejmują wszystko co tylko językiem ludzkim da się wysłowić. Są liryczne, opisujące, satyryczne, malujące smutek i tęsknotę. Słowem jakie kto chce uczucie, obraz, myśl oddać, oddaje w dwóch lub cztérech wiérszach, i to się nazywa Krakowiakiem. Znajdują się nawet opiéwane

niektóre zdarzenia lub dłuższe opisy i uczucia strofami dwó lub cztérowierszowemi, mającemi zupełny tok i formę Krakowiaków, to jest tak są oddzielonemi w obrazach i myślach, a które przecież jedną całość stanowią. Między niezliczoną liczbą Krakowiaków, które codziennie rodzą się, giną i powstają, są niektóre zachwycające, szczególniéj te, których wiérsz piérwszy przedstawia jaki obraz z natury, drugi zawiéra myśl lub uczucie, z któremi obraz jest w pewnéj harmonii. Poezija taka jest owocem prawdziwego natchnienia, córką czystéj niewinnéj natury i błogich patryarchalnych uczuć. Między Krakowiakami śród prostego ludu, wiele podobnych znaleść można. Lecz między szlachtą bardzo rzadko, albo téż noszące cechę wymuszenia lub nietrafności. Podobna różnica w poezii jednego rodzaju, która przy tém ma jedne formy i niemal spólnie jest śpiéwaną, nasuwa uwagę iż nie śród weselnych zgielków, nie w miejscu burd karczemnych i hulania, natchnienie podobne budziło pieśni. Czczący uroczyście naturę, odlegli przodkowie nasi, śród świąt na jéj cześć obchodzonych, śród prac koło jéj darów, zapewne natchnieni byli podobném uczuciem, podobną pojęli harmoniję, i w nagrodzie przywiązania do natury, na któréj łonie żyli, wydali śpiew tak zachwycający.

Drugiém miejscem gdzie się pieśni powszechnie słyszeć dają, jest pole. Przy pracy, można powiedzieć, wieśniak nasz jest najochotniejszy; nie paląc fajki, jak to pospolicie niemieccy wieśniacy robią, rozrywa myśl pieśnią. Nie usłyszy jéj atoli nikt na pańszczyznie, gdzie przytomność ekonoma i włodarzy, tudzież przekonanie o daremném i uciążliwém pracowaniu wszelki promień wesołości odpędza. Na swoim tylko zagonie myśl wolno płynie, a pocieszona widokiem plonu pracy, wydaje uczucie w pieśniach. Najpowszechniéj na polu śpiewają kobiety; zwyczaj ten w niektórych okolicach jest powszechnym. Śpiewaczki utrzymują, iż nigdzie lepiéj śpiew ich wydać się nie może jak w polu i proszących o śpiewanie tam wzywają. Podobnie i te pieśni są krótkie; treść wszystkich jest miłosna i tkliwa. Bardzo często śpiewaczka lub śpiewak zamiast słów wydaje tylko samo brzmienie głosu, którego nóta przeciągła i tęskna miłe uderza ucho podróżnego, i w dalekim słuchaczu obudza uczucie rzewności.

Najpowszechniéj jednak daje się słyszeć dźwięk trzymający środek między głębokim tonem pieśni ukraińskich, a rozpustną wesołością śpiewów miejskich. Pieśni śpiewane przy obrządkach, mianowicie weselnych, mają także nótę bardzo tęskną, i równie

najwięcéj przez kobiety są śpiewane. Mężczyzni prawie nic prócz Krakowiaków nie śpiewają, wyjąwszy niektóre zdarzenia i obrządki do których szczególne mają pieśni. Wszakże wielu się znajduje mężczyzn umiejących liczne pieśni nabożne, i jeżeli za mniéj przyzwoitą uważają śpiew światowy dla mężczyzny, wówczas gdy nie jest podochoconym lub na jakiéj zabawie, tak znowu śpiewać w kościele, choćby jakimkolwiek głosem wielką jest między niemi zaletą. Natomiast znajdują się kobiety, które z mnóstwa umianych pieśni, nabywają sławy w okolicy. O takich mówią zwykle z pewnym rodzajem podziwienia i szacunku. Na weselach zazwyczaj tylko sławne śpiewaczki bywają starościnami, których przeznaczeniem obmyśliwać zabawy dla zgromadzenia i na czele choru swachów i druchnów, śpiewać przeznaczone do tego obrządku pieśni.

Z wielu obrzędów, niegdyś za Słowian nieodłączną część życia i spraw publicznych stanowiących, a które i dziś jeszcze u wielu ludów słowiańskich są w użyciu i w szacunku, w Polsce nie zostały żadne. Liczne obrządki i sposoby ich dopełniania świadczą najlepiéj o czynności wyobraźni, stopniu i potrzebach umysłu, i dają poznać mniéj więcéj wyraźnie rysy charakteru narodowego. Lud polski jest w obrządki

najuboższy; zachował jedynie uroczystości rodzinne, a i te dzieją się z taką prostotą i skromnością, iż w nich nic prawie działania wyobraźni nie widać, a przynajmniéj ślady jéj coraz bardziéj gasną. Powolność z-jaką lud polski od początku przyjęcia wiary chrześciańskiéj okazywał dla nauk kościelnych, sprawiła iż wszelkie uniesienia fantazii, obrządki allegoryczne, zwyczaje raczéj skutkiem przewagi uczuć aniżeli działania myśli będące, stopniami znikały. Duch instytucij i stosunków ograniczał działanie wyobrażeń i uczuć, zacieśniał granice rozwijania się pomysłów. Nakoniec gdy polor zniosł dawne zwyczaje śród szlachty, włościanie i lud prosty zagarniony potokiem klęsk publicznych, stał się dziką ofiarą igrzyska wieku. Nie posiada już owych czerstwych uczuć, które są owocem patryarchalnego życia, rannych chwil umysłu i swobody używanych wszechstronnie władz moralnych. Lud nasz dalekim jest od jakiéjkolwiek czynności duchowéj i działania myśli, jest właśnie jakby automatem, którego ruchy są tylko skutkiem kierunku sprężyn. Ograniczony zakres widzenia, sparaliżowane czucie, nie są w stanie utrzymać dawnych swoich żywiołów. Przy tak smutnym wpływie okoliczności na poetyczne i umysłowe usposobienie naszego ludu, nie można się wydziwić że porzucając dawne

obrządki zatrzymał owe przymioty umysłu, które niegdyś w licznych obrządkach przedstawiał dotykalnie. Skromne obrzędy naszego ludu nacechowane są jeszcze wesołością szczérą. Otwartość, hojność i gościnność staropolska utrzymują się pośród nich statecznie, acz bez form i przygotowań, które niegdyś zwykle stanowiły zewnętrzną szatę obrzędów.

We wszystkich obchodach ludu polskiego, jest jakaś wrodzona powaga, pewien stopień wysokiéj przyzwoitości, który jedynie w charakterze narodowym ma swoje źródło. Ztąd też między naszym ludem jeden tylko rodzaj zabaw jest znany, to jest rodzinne lub przyjacielskie biesiady. Wszelka gra jest nieprzyzwoitą, a nawet nieznaną; jedna tylko daje się postrzegać, ale jako wyłącznie zabawa dziecinna. Jest to gra w krąg. Na odmierzonéj przestrzeni, staje z jednego i drugiego brzégu po kilku chłopców uzbrojonych kijmi, jeden z nich rzuca ku przeciwnéj stronie krąg, który doń dolatując zostaje odbijany napowrot kijem, i tak ciągle. Nie można pominąć uwagi, iż ta gra jest zupełnie przeciwną grze Niemców w kręgle. Tamci kulą zbijają w pewném miejscu ustawione pałki. Ci pałkami biją lecący krąg. Zwyciężenie trudności jest na stronie Polaków.

Do obrządków, w których jeszcze daje się widzieć pewny ruch wyobraźni i czucia, liczyć tylko można obrząd weselny; chrzciny są już tylko prostą biesiadą przyjaciół i kumów. Pogrzeby podobno już bardzo dawno odbywają się pod zwierzchnictwem plebanów, a zatém tak jak kościół oddawna chciał mieć, cicho, bez żadnych widocznych oznak czułości i żalu prócz łez i jałmużny. Umilkły dawne stypy, a w miejscu usypywania wysokich mogił i sadzenia na nich kwiatów przy śpiewach, zostało się rzucenie garści ziemi na trumnę nieboszczyka, którą czynność każdy z otaczających stara się uskutecznić. Mowy pogrzebowe przez którego z sąsiadów lub krewnych miewane, coraz stają się rzadszemi, a w niektórych okolicach zupełnie ustały. Już tylko gdzie niegdzie w święta Chrześciańskich Wielkanocy plotą wieńce ze świeżo rozkwitłych ziół i gałązek, gdzie niegdzie w kwietnią niedzielę zanurzają słomianego bałwana, albo przedają koguta, wodząc go z domu do domu z muzyką i śpiewami, w których podania chrześciańskie wystawione są najzabawniéj i bez sensu. Obchody podobne coraz bardziéj nikną. Młodzi dziedzice zaniedbują wyprawiać okrężyn. Ze światem poetycznym szlachty zginął także i świat poetyczny prostego ludu. Najwyraźniéj o tém przekonywają pieśni, z których

jak wspomnieliśmy, najliczniejsze są krótkie krakowiaki, poświęcone na opiewanie wszystkiego. Jako wyłączne dziś dzieci biesiad jedynéj i powszechnéj ludu naszego zabawy, przytłumiły one smak do innych, mianowicie dłuższych pieśni. Te nawet, które kobiety w polu lub przy kądzieli nócą, często są z kilku lub kilkunastu krakowiaków złożone, i dla tego nie zawsze mają sens właściwy. A gdy jak się powszechnie dzieje, śpiewający krakowiaki dodaje do nich swoje, lub odmienia albo do swoich życzeń stosuje wyrazy, powstaje szczególna mieszanina i często koniec pieśni nie odpowiada początkowi. Między temi dają się spotykać, lecz bardzo rzadko, pieśni poświęcone jakiemu zdarzeniu, są to zwykle nieszczęśliwe zdarzenia miłosne, nóta tych pieśni jest powszechnie przeciągła i smutna. Tak krakowiaki jako i wszelkie inne pieśni są w rymach, o których dobór wiejscy poeci całe starania nie mają. Używanie zaś wyrazów zdrobniałych, zwłaszcza w pieśniach dłuższych, jest powszechném. Wyrazy podobne w rozumieniu ludu naszego są nie tak wyrazami pieszczoty jak szacunku, i znamienują styl wyższy, piękniejszy.

Zastanawiając się ogólnie nad pieśniami naszego ludu, te dadzą się podzielić na trzy rodzaje. Do pierwszego należą krakowiaki; w drugim można umieścić

pieśni dłuższe, śpiewane najczęściéj przez kobiéty, treść ich zawsze jest tkliwa i romansowa; trzeci rodzaj stanowią pieśni obrzędowe, to jest na weselach, okrężynach i innych czasów słowiańszczyzny sięgających obchodach śpiewane; te są najdłuższe, niekiedy poważne, lecz ich ilość bardzo jest ograniczona i wraz z obrzędami codzień mniéj są używane. We wszystkich duch łagodności jest panującym, obrazy natury krótkie, lecz zwłaszcza w krakowiakach świeże i trafne. Ujmującą jest wielu prostota, naiwność i tęskność, a działanie wyobraźni nadzwyczaj umiarkowane; nie postrzedz zapału, tym mniéj fantastycznych i wybujałych uniesień. W pieśniach drugiego rodzaju często zdarza się spotkać dwuśpiewy, to jest kochanek na śpiew kochanki odpowiada, lub wzajemnie. Jak zaś w ogólności wszystkie odznaczają się bardzo umiarkowaną, lecz zawsze świeżą i z natchnienia natury pochodzącą prostą wyobraźnią, tak prawie wszystkie poświęcone są malowaniu uczuć miłosnych. Zepsucie tylko obyczajów w czasach ostatnich sprawiło, iż znajdują się teraz krakowiaki satyryczne, ucinkowe, opisowe i t. d. O pieśniach historycznych z dawniejszych czasów, nikt nie zasłyszy. Lud wiejski, tyle wieków wyłączony od dobrodziejstw praw, nie tylko politycznych ale i cywilnych, i do obrony kraju dopiéro

w ostatnich powołany czasach, żadnych publicznych wspomnień ani w pieśniach, ani w podaniach nie przechował. Nie exystując cale względem praw publicznych kraju, nie mógł nabyć potrzebnego żywiołu do natchnień podobnego rodzaju. Z czasów to ostatnich dopiéro mamy pieśni historyczne u naszego ludu; lecz co do dawniejszych, żadna pamiątka nie jest uświęconą, a nawet pieśni wysławiające jakie szczególne zdarzenia miłosne, są bardzo rzadkie. Powszechnie pieśni polskie malują walki i dzieje serca, w wyrazach jak tylko być może najogólniejszych. Obrazów miejscowości które tyle zdobią pieśni góralów szkockich, u Polaków nie znajdzie. Ogólne malowanie rzeczy do tego stopnia jest posunione, iż niektóre imiona zostały jakby z przepisu za stałe i niezmienne do użycia przyjęte. Powszechnie Jasieńko i bardzo często Kasieńka we wszystkich powtarzają się śpiewach. Miejscem zaś najczęściéj spominaném w naszych pieśniach jest Kraków. Brzmi on nie tylko w krakowiakach, ale niemal w każdéj pieśni dłuższéj, lub jakiemu zdarzeniu poświęconéj. Jeżeli z jednéj strony słusznie zastanawia to dążenie do ogólności, które poezyję naszego ludu pozbawiło rysów miejscowości, tych dzielnych sprężyn do poruszenia czucia narodowego; z drugiéj uświęcenie miasta, które tak długo

było metropolią ojczyzny, miłe rodzi uczucie, tém bardziéj, gdy zważymy, że wszystkie pieśni nie są oparte na zdarzeniach, czyli, nie są historyczne, lecz idealne; i tylko sława tego miasta, przywiązanie do niego ludu, i najświetniejsza o niém opinija, zastąpiły miejsce historycznéj podstawy. Można śmiało powiedzieć, że w skromnych pieśniach naszego ludu, Kraków jest błogosławionym Syonem opiewanym przez wszystkie w kraju usta.

W stanie prostoty, gdzie umysł niezdolny jeszcze odróżnić fałszywych od prawdziwych uczuć, gdzie przeto każde wrażenie przewodnikiem jest jakiego czynu, u podobnego ludu czarnoxięztwo, zabobony i t. p. są rzeczy, które zastępują działanie i wpływ myśli i rozwijanie się władz rozumu i doświadczenia. Zastanawiającą jest rzeczą, że w pieśniach naszego ludu, żadnego śladu nie masz cudowności. Żadne czary, żadne zjawiska, albo nadprzyrodzone wypadki, miejsca w nich nie mają. Pewny rodzaj smętnéj pogody i umiarkowania, jak w nócie, tak równie panującym jest w wyobrażeniach, i wszelka dziwność jest od nich daleka; a może poczęści i stąd pochodzi, że jak już mówiliśmy, zbyt mało jest pieśni poświęconych jakim zdarzeniom, i że powszechnie tylko wewnętrzne dzieje uczuć malują. Przeciwnie w powię-

ściach nazywanych zwykle przez lud *bujkami*, a które w niektórych okolicach dosyć są liczne, napotykamy często wprowadzoną do działania dziwność. Nie tyle jednak daje się postrzegać czarnoxięztwo, wieszczbiarstwo, jak raczéj cudowność z wyobrażenia o przyszłém życiu, o nagrodach i karach pochodząca. Najczęściéj pokutująca xiężniczka, któréj płomień z ust wybucha, bywa uwolnioną przez dobrego i pobożnego rycerza, po ciężkiéj walce z diablami. Ale nietylko dziewice; pobożni ci ludzie uwalniają nie raz całe zamki, okolice, wojska zaklęte przez czarodziejów, lub opanowane przez Turków albo Tatarów. Zwykle wszystkie powieści choćby najokropniejsze, kończą się weselem i ucztą; gdyż rycerze zawsze są szczęśliwi, i choć z największemi trudami, raz za pomocą czarów wszystkiego dokazują, to znowu za pomocą świętych i same czary zwyciężają. Opowiadający kończy rzecz zwykle, iż po tém wszystkiém nastąpiło sute wesele i dodaje: „I ja tam byłem, jadłem i piłem, po brodzie kapało, ale w gębie nie nie postało."

Jakkolwiek powieści są liczne, nie są jednak tak upowszechnione jak pieśni. Lud wielkopolski i część Mazowsza już rzadko się niemi zajmuje. Nad Bugiem i Wieprzem powszechną dotąd jest rzeczą nietylko w domach włościan ale niższéj szlachty, długie wie-

czory jesienni zaczynać od pieśni nabożnych, daléj światowych, a nakoniec bawić się słuchaniem bajek, które im okropniejsze, tym pilniejszą obudzają ciekawość mimo przestrach i obawę śnienia słyszanych nadzwyczajności. Tam są powieści, które dla swéj interessowności znajome są niemal wszystkim; jako to: *Berezowski*, *złota Halina* i liczne bajki o trzech braciach, z których zwykle dwaj mądrzy, a trzeci głupi, dzielą się spadkiem i t. p.

Oprócz pieśni i powieści znane są jeszcze między ludem naszym różne *zagadki*, które wszystkie są ułożone wiérszem, a niektóre dosyć dowcipne. W ogólności jak w pieśniach widocznem jest umiarkowanie fantazji, tak niemniéj tém się odznacza i cała krajna wyobraźni Polaków. Utwory ich w sferze nadzmysłowéj nie mają ani namiętności i zmysłowych własności południa, ani dzikich potworów północy; i jak niegdyś mitologija słowiańska nic okropnego nie mieściła, tak podobnie i dzisiejsze gusła, zabobony, czary i t. p. skutki chmurą ciemnoty pokrytego umysłu, dość liczne, niewybujałe jednak, nigdy przeważnie w umyśle ludu naszego nie działają. Dziś największe gusła panują z powodu słabości. Lud nasz powszechnie wierzy, iż choroba przez ludzi zadaną i na powrót odebraną, czyli jak się wyrażają odczyniona być

może. Za najskuteczniejsze lekarstwo uważają zamówienie przez *baby*, a najwięcéj przez *owczarzy*. Zamówienie to, używane na wszystkie choroby, odbywają wzywaniem świętych lub N. Panny, które *baby* z dodaniem innych słów, niby tajemnicę jaką, szepcą, czyniąc przytém pewny rodzaj magnetyzowania na chorym przez chuchanie i dotykanie. Miejsca odosobnione, źródła nieczyste, a szczególniéj bagniska i puste zamki, są zwykle podług naszego ludu przez złych zamieszkane duchów, o których, a mianowicie o mieszkających na bagnach, dziwne roznoszą baśnie. Istność diabłów w podobnych miejscach tak jest upowszechniona, iż mają stałe nazwiska, i na zawołanie wychodzą; a dawniéj i pieniądze dawali. Najwięcéj jednak jest powieści, jak wodzą po swych bagnach pijaną szlachtę wracającą z sejmików, lub włościan z kiermasza albo z odpustów: które dla tych ostatnich bywały dawniéj tém, czém dla szlachty dawniejsze sejmiki. Z podobnych diabłów sławny był pod Łęczycą *Boruta*, w Wieluniu *Widoradzki*, a na Podlasiu *Rokita*. W wielu miejscach bagna uważają za pokrywające zapadłe miasta, i z największą pewnością utrzymują, jak słyszeli dzwony, śpiewające głosy i t. p. Wierzących w upiory jest już mało. Dziwną jest rzeczą zważając, że w całéj Polsce diabeł ubrany jest

po niemiecku i do tego w czarnego koloru sukniach; wszakże przedziérgać się on może w rozmaite rzeczy, a nawet czasem w lekki dymek, i w ogólności więcéj jest ogadany aniżeli w istocie zły; podług przysłowia: *nie taki diabeł straszny jak go malują*. Jak diabeł zawsze się ubiéra czarno i krótko, tak przeciwnie wszelkie inne duchy chodzą całe w bieli, o zjawianiu się których dość liczne krążą podania.

Wieszczbiarstwo jest rzadkie; używają jednak sposobów na dowiedzenie się o jakiéj rzeczy, n. p. dla odkrycia złodzieja, biorą sitko, zatykają w łubę nożyczki, a pod niemi kładą xiążkę nabożną; tak trzymając na końcach średnich palców, wołają imienie każdego, kto jest w podejrzeniu: gdy za wymienieniem którego nazwiska sitko się zakręci, to jest znakiem, iż osoba, któréj nazwisko wymienione, ukradła rzecz poszukiwaną. Drugi sposób jest taki. Wszystkim podejrzanym rozdają jednéj miary słomki, które kilka dni przy sobie nosząc pokazują i mierzą. Słomka złodzieja ma być krótszą. Poniedziałek jest ciągle jeszcze dniem nieszczęśliwym do wyjazdu; a dziewice, których godłem w całéj Polsce są kwiaty, a szczególniéj ruta, którą jako oznakę dziewiczego stanu nawet śród zimy na głowie noszą, dość jeszcze powszechnie wróżą sobie przyszłych małżonków w wilię S. Andrzeja, w dniu

S. Szczepana, i w wiliję nowego roku. W ogólności szereg zabobonów naszego ludu coraz bardziéj się zmniejsza; przykład szlachty działa tu najskuteczniéj. Diabeł co dzień traci na swojéj powadze, a z nim i czarodziejstwo, o którém nie wiele już słychać. Wielu tylko szarlatanów, udających się za powszechnych lekarzy, łudzą lud, iż wszelkie choroby można przez zamówienia lub inne sposoby cudownie uleczyć.

Ponieważ zabawy biesiadne są najulubieńsze u ludu polskiego, przeto naturalnie lud musi być także przywiązany do muzyki i tańców. Wszakże i tego lud nasz nie posuwa do namiętności, i muzyka nie jest jego konieczną potrzebą, jak to widzimy u Włochów i Czechów. Zawsze jednak wznieca w nim najżywsze zajęcie, i jest ozdobą każdéj zabawy. Jak mają właściwą nótę do swych pieśni, tak podobnie grają z natchnienia natury. Skrzypki i *maryna* czyli *basy* są w każdéj wsi; i każda wieś prawie ma swego *grajka*, który w niedzielę i na weselach zabawia sąsiadów. Nie wspominając o wierzbowych fujarkach, którą każdy wieśniak na wiosnę miéć musi; pominąć nie można *ligawki*. Jestto rodzaj trąby do dwóch łokci długiéj. W okolicach, w których śpiewanie w polu jest w powszechnym zwyczaju, *ligawka* jest w każdéj chałupie. Pasący woły grają na nich wieczorem i

rano; głos ich tęskliwy i głośny niesiony po płaszczyznach jesienną rosą oblanych, zdaleka szczególną, bo jakby podziemną harmoniją uderza ucho podróżnego. Nie zdarzyło mi się widzieć innych pośród ludu instrumentów. W dawniejszych czasach jest niezawodną, że lud nasz dzielił przywiązanie do muzyki z innemi Słowiany. Smutne okoliczności tyle wieków dotykające te krainy, łącznie z innemi rysami, nadwerężyły i skłonność wrodzoną do muzyki i śpiewów. Największy wpływ na skażenie idyllicznych obyczajów naszego ludu miała chytrość żydów, tyle lat dzierżących wyłącznie propinaciję. Oni w miejsce obrządków tyle zajmujących wyobraźnię, w miejsce uroczystości patryarchalnych, hojnie szafując trunkiem, upowszechniali najwięcéj karczemne biesiady i zabawy huczne, w których opilstwo brało górę nad wszystkiém, i nakoniec zupełnie od dawnéj prostoty i wstrzemięźliwości lud nasz oddaliło, a z niémi poszły w zapomnienie obrządki i zwyczaje. Dziś te tylko, które są połączone ze świętami Chrześciańskiemi, jako to: *Wilija Bożego narodzenia, dzień zaduszny, poświęcenie bydła w dzień S. Rocha*, ziół i zboża na *N. Pannę Wniebowzięcia*, owsa w dzień *S. Szczepana*, i wieńców z kwiatu na ołtarzach w uroczystość *Bożego ciała* i t. p. utrzymują się stale przez powagę jaką im

nadaje obrzęd kościelny i przywiązana wiara w błogosławieństwo z jego dopełnienia. To też tylko jedno utrzymuje ostatek uczucia u naszego ludu; żaden inny przedmiot nie ożywia jego duszy, wprawdzie nie zepsutéj do szczętu, lecz przytłumionéj zupełnie.

J. L. Żukowski.

Wyjątek z komedii p. t.

MARUDA.

Z AKTU III. SCENA II.

Teofil, (*pan*). Jęczmionek, (*ekonom*). Jan, (*lokaj*).

TEOFIL.

Cóż tam panie Jęczmionek, jeszcześ nie wyjechał?

JĘCZMIONEK.

A nie, wielmożny panie. Pan mię tak zaniechał.
Teraz już byłbym może choć koło Piaseczny.
Czekam listu.

TEOFIL.

Znow listu?. Wybacz panie grzeczny.
List po liście! To mi się przedziwnie wydarza.

JĘCZMIONEK.

Ależ..

TEOFIL.

Czy mię bierzecie za swego pisarza?

JĘCZMIONEK.

Jakże będzie? Wielmożny pan kazał mi czekać.
Szkoda czasu i..

TEOFIL.

Nie masz czego waść narzekać.
Wam się zdaje, ja nie wiém, wy sobie myślicie
Że Warszawa to folwark. Tu jest ipsze życie.
Na wsi, to co innego. Nie pismem, to mową,
Możesz mieć czas na wszystko: na to i na owo.
Ale w mieście, mój panie? Choć człowiek chce szczerze:
Jedno, drugie, ten, tamten, i dzień ci zabierze.

JĘCZMIONEK.

Trudnoć kiedy wielmożny pan tak czasu niéma.
Jednak się gospodarstwo wiatrem nie utrzyma.

Pan tam zbyt dobrotliwy; czasy niech Bóg broni;
Z dnia na dzień zawsze tylko ostatkiem się goni.
Ot bajbardzo ten transport! jakaż zapomoga?
Mosty, bruki, podwody, ot wszystko zjé droga.
Żyto czyste, obfite, i mierzyłem szczerze:
Siedém złotych żyd daje; rospacz prawie bierze.
Podatku ani opędź, rata w ratę idzie;
Robocizna zalega, gospodarze w biédzie.
Nito jak rąk zaczepić, jak co przysposobić.
Jeźli pan nie napisze, nie wiém już co robić.

TÉOFIL.

(w zamyśleniu)

To źle.. Bardzo niedobrze.. Fatalne są rzeczy..
Więc ta fraszka bynajmniéj was nie zabezpieczy:
Cóżtam te tysiąc złotych!

JĘCZMIONEK.

Toć wielmożny panie
I tego człowiekowi na jakiś czas stanie.
Dobrze cokolwiek zapchać; takićto pomoże.
Podatek tuż za pasem: ten czekać nie może.
Dworskie zasługi? Sumka i z tego urosła.

TÉOFIL.

Sambyś asan pojechać mógł do pana posła,
I w szczegółach rzecz całą ustnie mu wyłożyć.
Że nie mogąc listownie sprawy z nim otworzyć,

Dla tłoku interesów, a będąc w potrzebie
Nagłéj tysiąca złotych: proszę go przez ciebie
O sąsiedzką usługę; i że nie najdaléj
Z wdzięcznością mu to zwrócić będziem się starali.

JĘCZMIONEK.

Dobrzeć wielmożny panie; pojechać nie trudno;
Ale z niczém powrócić będzie diable nudno.
Już się i tak należy coś panu posłowi;
Termin dawno się przewlókł. A nuż jak odmówi,
Nie mając nic od pana tylko moje słowo?
Cóż ja nieborak poczne? choć nakładaj głową!

(*kłaniając się*)

Z przeproszeniem, zdaje się że jużby koniecznie
Niechbytam pan wielmożny napisał co grzecznie.

TEOFIL.

Zapewne. Kiedy piszę, twe ręce nie czują...
No niechno. To napiszę.

(*do Jana który wchodzi.*)

Co?

JAN.

(*kładąc list na stoliku*)

Już nie przyjmują.

TEOFIL.

Jakto?

JAN.

Poczta odeszła.

TEOFIL.

Otoż wielkie miasta!
Coż mówił?

JAN.

Że odchodząc odeszła i basta.

TEOFIL.

(z gniewem)

Po licha ż są te poczty? Na co ludzi zwodzić,
Jeźli nie wszystkie z nich listów, tak mają odchodzić?
(Jan z uśmiéchem wychodzi. Teofil patrząc na list przyniesiony)
Ot właśnie się jednego prosił wierzyciela,
Aby termin przedłużył do czasu wesela:
Chciałem się z tém pośpieszyć. To prawdziwa biéda;
Nie mając żadnéj wieści, jeszcze pozew wyda.
Straszne rzeczy!

(odwraca się do ekonoma)

JĘCZMIONEK.

Takto zle zawsze lizie w drogę,
Wielmożny panie.

TEOFIL.

Widzisz. No, teraz nie mogę.
To mi się wydarzyło wcale niespodzianie.

JAN.

(wchodząc)

Będzie się pan ubiéral?

JĘCZMIONEK.

(do Jana)

Nie przeszkadzaj, Janie.

TEOFIL.

(po namyśle, dając mu znak ręką)

Zaraz.

(Jan odchodzi z gestem niezkontentowania.)

JĘCZMIONEK.

(nieśmiało)

Żeby przez łaskę nad wiernym swym sługą,
Chciał wielmożny pan pisać, i nie trzymał długo.

TEOFIL.

Mówiłem że napiszę.

JĘCZMIONEK.

(z ukłonem)

Niech się pan nie gniewa.
Żeby można dociągnąć chociaż do Mniszewa.
Choćby przyszło i nocą zrobić kawał jaki.
Dalibógże, takżećto biédne te koniaki,
Stare i spracowane. Nie mówię tak komu,
Ale nie wiém czy jutro dolizę do domu.

TEOFIL.

Czemuż koniecznie jutro?

JĘCZMIONEK.

A, panie wielmożny,
Jarmarczyna ten lichy. Dziś, człowiek ostrożny,
Chce z wszystkiego korzystać. W prawdziećto tam mało
Trzeba się na to spuszczać: jednakby się zdało.

JAN.

(wchodząc)

Pan półkownik o jakieś xiążki tu się pyta.

TEOFIL.

Ba! Przy tych zatrudnieniach niech kto co przeczyta.

(dając Janowi znak odejścia)

Potém mu je odeszlę..

(*gdy Jan wyszedł*)

Trochę długo trzymam..
Miałem już dawno oddać.. Cóż, gdy czasu niémam!

JĘCZMIONEK.

Wedle tego powiadam że to dzień jarmarku,
Więcby się tam wywiozło byle co z folwarku.
Może kilka korczyków, może skopów parę,
Niémato z czém się drożéć: licho ciężkie, stare.

TEOFIL.

(*potwierdzając*)

Pewnie.

JĘCZMIONEK.

Może grosz jaki przyjdzie. Ot dla pory,
Niechby tam co pomyśleć względem téj obory.
Ściana zwłaszcza od drogi ze szczętem ladaco.

TEOFIL.

(*z namyśleniem*)

Toby potém.

JĘCZMIONEK.

Kiedyżbo jagnięta się tracą,
Śniég precz wszędzie zachodził. Toże pan pamięta,
Jak wciąż padały przeszłéj zimy niebożęta..

JAN.

(wchodząc)

Już panie krawiec przyszedł.

TEOFIL.

Jakby się zmówili!
Od rana do wieczora tylkoby męczyli.
Nie mam dziś czasu.

JAN

Na toż nie potrzeba wiele.
Niechby zaczekał.

TEOFIL.

(dając Janowi znak odejścia)

Mówię niech przyjdzie w niedzielę.
W święto prędzéj czas znajdę.

JAN.

(na stronie)

Ty znajdziesz, nudziaru!
Takiego święta pewno niéma w kalendarzu.

(odchodzi)

JĘCZMIONEK.

Stajni także gwałtemby trzeba zapomogi.
Ni to drabin, tak dobrze jakby bez podłogi,

Oto prawie ludzkiego niéma nawet żłobu,
Grzéch jest panie opuścić tak ją bez sposobu.

TEOFIL.

(*po chwili*)

Z tém się można zatrzymać.

JĘCZMIONEK.

Żeby choć bez szkody
Wielmożny panie. Bydlę chce także wygody..

JAN.

(*wchodząc*)

Da pan na obrok? konie jeszcze bez popasu.

TEOFIL.

(*z gniewem*)

Czego ty się naprzykrzasz!

JAN.

Przecież..

TEOFIL.

Nie mam czasu.

JAN.

Dobrze; muszę powiedzieć żeby jeść nie chciały,
Bo pan dziś nie ma czasu.

(*odchodzi*)

TEOFIL.

(za odchodzącym)

Dam ja ci, zuchwały!

JĘCZMIONEK.

Stodoła również panie ratunku aż woła,
Dach już wszystek przegniły, dziury precz dokoła.

TEOFIL.

(z nieukontentowaniem)

Niechno jeszcze.

JĘCZMIONEK.

Tę porę źle byłoby minąć.
Jest trochę tego ziarna, i to weźmie ginąć.

TEOFIL.

(zniecierpliwiony powstaje)

Jakbo się zaczniesz skarżyć, to już końca niéma.
Nie bój się; czas na wszystko jeszcze się otrzyma.

STEFAN WITWICKI.

TUKAJ.

CZĘŚĆ TRZECIA *

Tukaj przeżył lat czterdzieście,
Zdrowia, złota nie żałował,
Hulał, szalał, lecz nareście,
Już się znudził i zmordował.
Kochanki się postarzały,
Młode młodszych obiérały,
Mógł odmłodnić— pocóż zwlekać?
Z przyjaciół, — miał ich nie mało,
Trzech się tylko pozostało
Którymby się dał posiekać,

* Ośmielając się kończyć balladę Adama Mickiewicza, winienem oświadczyć, iż czynię to za wolą autora.

Mą się rozumieć, po prubie.
Rzekł więc naprzód najstarszemu:
»Przyjacielu! ufam tobie.
Nie pytaj na co i czemu,
Lecz weź ten słój, pójdź do zdroju,
I cokolwiek będzie w słoju,
Proszę byś do wody wrzucił"
Przyrzekł, poszedł, nie powrócił;
Tukaj się mocno zasmucił.
Szczęściem że przyjaciel drugi,
Stanął gotów do posługi:
Wrócił, lecz dziwem przejęty:
»Tukaju, to dyjamenty!
Co za kaprys lub powody,
Taki skarb rzucać do wody?" —
—Będziemy dość mieli oba,
Weźmiesz ile się podoba. —"
—Mniejsza o to! powiédz raczéj,
Co to, na co, co się znaczy?
Nikomu nie wspomnę o tém,
—Jeszcze nie czas, potém, potém.
Masz słój drugi, wrzuć do zdroju,
Ale nie patrz co jest w słoju. —"
Wziął słój, ale nic nie mowi,
Patrzy w oczy Tukajowi.
»Idź, idź, resztę czas wyświeci."
On odszedł milcząc ponuro,
Alić ledwo znikł za górą,
Z za góry czarny kruk leci.
»Cóż Tukaju, wracam suchy,
Cha, cha, lecz nie trać otuchy.
Gdzie jest twój przyjaciel trzeci?" —

Tukaj się uderzył w skronie,
Z rozpaczą załamał dłonie,
I wzrokiem tocząc po niebie,
Klął ludzi, diablów i siebie.
»Tukaju! co się to znaczy?
Wyjaw mi powód rozpaczy,
Jeźli osłodzić nie zdoła,
Przyjaźń twój smutek podzieli.“—
— »Ha! przyjaźń! Tukaj zawoła,
Wszak wiész, miałem przyjacieli,
Gdzież są po najpiérwszéj probie?
Lecz znana mi dusza twoja.
Mów, mogęż zaufać tobie? —“
— »Doświadcz, to odpowiedź moja—“
Wziął słój, skarb do wody wrzucił,
Wziął drugi, kruk nie powrócił.
On wraca. Skoro go zoczył,
Tukaj na spotkanie skoczył.
Już są blisko, już wzajemnie,
Wyciągają uścisk tkliwy,—
Tukaj szepnął coś tajemnie,
Skinął, i w tém, dziw nad dziwy,
Wilk, lew, tygrys, smok straszliwy,
Z dymem w paszczy, z ogniem w oku,
Na Tukaja wypadł z boku.
»Ratuj bracie! Tukaj krzyknął,
On zapomniał że bezbronny,
Skoczył śmiało — zapęd płonny!
Zwiérz jak wypadł tak i zniknął.
Głos tylko z śmiéchem zmieszany,
Zabrzmiał: *winszuję wygranéj*.

Ale jeszcze, jeszcze proba — "
Ci się uścisnęli oba.
Tukaj już się nic nie trwożył,
Odkrył sekret, rzecz wyłożył,
Dał przepisy, dał przestrogi,
Jak ściąć głowę, siekać nogi,
Lecz nadewszystko powtórzył:
Jak pocięte skleić członki,
Jakie zioła i korzonki,
Rwać na nowiu lub pod pełnię,
Po ile brać szczypt i łótów;
To skończywszy, był zupełnie
Do operacyj gotów.
Jednak żal mu się zrobiło.
Słońce pięknie zachodziło,
Xiężyc wznosił się od wschodu,
Tukaj poszedł do ogrodu.
Kwiaty kwitły na około,
Wonny wietrzyk chłodził czoło,
Słowik śpiewał gdzieś wesoło.
Tukaj stanął po nad strugą,
Myślał, patrzał, długo, długo.
W tém łzą błysnął wzrok ponury,
Oczy, ręce wzniósł do góry,
„Niebo, słońce, bądźcie zdrowe! — "
W tém przyjaciel ściął mu głowę.

Ant. Edw. Odyniec.

KRÓL SCYTÓW.

Czy to prawda, czy zmyślenie,
Nie wiem i próżno nie badam,
Dość iem słyszał to zdarzenie;
I com słyszał upowiadam.

Raz król Scytów ogromną zdobywszy stolicę,
Kiedy rozległe przejeżdżał ulice,
I razem z mnóstwem swéj dziczy,
Dziwił się swojéj zdobyczy:
Ujrzał, — świetnemi otoczon budowy,
Jakiegoś króla posąg marmurowy,
A pod nim napis w czystém ryty złocie:
Sławie i cnocie.

Skutkiem jakiegoś szczególnego cudu,
Ta tkliwa wdzięczność, hołd całego ludu,
Ta sława któréj wieki nie umniejszą,
Wzruszyły jego dzikość najjaśniejszą.
Daje więc rozkaz by się przed nim stawił
Piérwszy z mędrców téj krainy,
I by mu wszystkie opowiedział czyny,
Któremi król ten się wsławił.
Idzie więc mędrzec; a gdy przed nim stanie,
Tak się doń ozwie: Najjaśniejszy Panie!
Król ten, któregoś wielkich dzieł ciekawy,
Był podług dziejów i srogi i krwawy.
Szczególne jakieś miewał przywidzenia,
Całkiem nie lubił ludzkiego plemienia.
Niczém mu były i cnota i sława,
Niczém ludzkie, boskie prawa.
Wszystko zdeptała jego złość bezbożna,
I tak darł, Panie, jak tylko drzéć można.
Stój! stój! zawoła nasz Scyta zdumiały,
Jakże to zgodzić z tym pomnikiem chwały?
Cóż ta sprzeczność znaczy?
A mędrzec na to tak mu się tłómaczy:
Przyczyna tego łatwa do odkrycia,
W dwóch ci ją słowach odsłonię:
Posąg stawiono za życia;
Dzieje pisano po zgonie.

F. M.

ŚMIERĆ WATELA.

naśladowane z francuzkiego.

Kondeusz, co się niegdyś w tylu wsławił bojach,
Króla swego przyjmował w Szantylly podwojach.
Żaden mocarz na świecie, od swego xiążęcia,
Tak wspaniałego jeszcze nie doznał przyjęcia.
Watel wszystkim na wszystkie rozkazywał strony,
Nieśmiertelnego wodza marszałek wsławiony.
Wielkie chęci i zdolność nadały mu Nieba;
Ale nie dość talentu, genijuszu trzeba. —
Wszystko szło zrazu dobrze, porządnie i bacznie,
Watel patrzył z tryumfem jak król zjadał smacznie.

Gdy w tém nagle z tą wieścią drżące biegną sługi,
Że dwóch pieczeń zarazem na stół brakło drugi.
Rzuca się Watel, biegnie, przestraszony, zbladły,
Szuka pieczeń, lecz próżno, jak w piekło przepadły.
Krzyczy więc w pośród strasznych przeklęstw i złorzeczeń:
Jużem honor mój stracił, zabrakło dwóch pieczeń!
Znikły wszystkie zasługi, laury powiędniały,
Jeden dzień zgasił świetność tyloletniéj chwały.
Zdradziłem mą powinność, mój urząd poniżył,
A zwłaszcza Kondeuszów sławie tak ubliżył!
Dochodzi wieść ta xięcia, biegnie więc z pośpiechem,
Coż czynisz mój Watelciu, rzecze mu z uśmiechem:
Nie gniewam się, lecz owszem dziękuję ci szczerze,
Przewyborną dla króla daleś mi wieczerzę.
W całéj chwale zabłysła dziś twoja przewodnia,
A wreszcie brak dwóch pieczeń nie tak wielka zbrodnia.
Ukoił się nasz Watel, łzami skruchy zalał,
I dobroć swego pana pod nieba wychwalał.
Ale wkrótce go stokroć sroższy cios dobija,
Mija noc, mija ranek i południe mija:
A z sandaczem, którego król na obiad żąda,
Naprożno tylu razem posłańców wygląda.
Lata więc, krzyczy, wrzeszczy, rwie włosy, rozpacza,
W całéj wściekłości woła, śmierci lub sandacza.
Sama śmierć odpowiada! Watel się nie chwieje,
Stawają mu na myśli i sława i dzieje.
Kiedy nie masz sandacza, z straszną ryknie złością,
A więc życie ochydą, a śmierć powinnością.
To rzekłszy, oręż chwyta, do serca przymierza,
Uderza się, uderza, i jeszcze uderza.

Pada, krew go ubiega. Lecz, o wieczne żale!
Gdyby się był na chwilę wstrzymał w swym zapale,
Chwilę tylko zniósł jeszcze te srogie męczarnie:
Byłby ujrzał sandacza i nie zginął marnie.
Zaledwie że wyzionął to szlachetne życie,
Już zewsząd ogłaszają sandacza przybycie.
Szukają go, wołają, lecz o wielkie Bogi,
Cóż widzą! we krwi leży samobójca srogi!
O jakże postać jego rozbestwioną była,
Zdawało się że straszna wściekłość go przeżyła;
Że się jakiś głos skryty z jego ran dobywał,
I silniéj niż słowami sandacza przyzywał.
Mówią nawet, że kiedy po swym krwawym zgonie,
Przeplywał już z Charonem, wrzące Styxu tonie,
W Styxu nawet głębinę dzikie wlepiał oczy,
Czyli swego sandacza gdzieś na dnie nie zoczy.
Tak skończył groźny Watel, Kato, Ajax nowy,
Najzaciętszy z marszałków, Solon obiadowy.

F. M.

ELEGIJA.

O biedni kochankowie! nigdyż nie możecie
Znaleść jednego miejsca na tym wielkim świecie,
Gdzieby was, jak wy wszystkich, zapomnieli drudzy,
I harmonii westchnień nie mieszał śmiéch cudzy.
Gdzieby was nie dosięgła złéj obmowy żmija,
Lub gorszy od Argusa potwór *Familija*!
Choćbyś flet syna Mai odziedziczył słodki,
Zerwiesz pierś, nimbyś uśpił braci, stryjów, ciotki.
Nic bez cierni; to ciernie przy kwiecie piękności,
Ćma lecąca by zgasić pochodnię miłości.
Skoro raz twoje tkliwsze przejęli wejrzenie,
Lub z ust ulatujące zastrzegli westchnienie,
Ci już nos przez dzień cały więżąc w okularach,
Po genealogicznych szczebluą konarach,

Aby z ich rozłożłości i wyżyny došli,
Czy sok pieńka wart krążyć po ich latorośli.
Tych oczy jak kozaki strzegące granicy,
Ze wszech stron zabiegają sercu synowicy;
Aby gdzie nie przebiło linii kordonu,
Familijnéj godności, lub dobrego tonu.
Ci nakoniec z gorliwéj nie gubiąc uwagi,
Jak co rychléj sióstr zbywszy, zatrzymać posagi,
Arytmetycznie pragną rozwiązać zadanie,
Czy szwagier na miłości siostry poprzestanie;
Lub czyli jeszcze za nią, dla kochanych braci,
Protekcją, darami, godnie się wypłaci.
Biada tobie, nieszczęsna! jeźli kochasz szczerze,
A serce twoje tylko takiego wybierze,
Co choć najświetniejszemi zbogacon zalety,
Choć głośny — skoro tylko nie brzękiem monety,
A zatém familijna gdy twoja starszyzna,
Za dobrą go dla siebie partiję nie przyzna.
Przygotuj serce twoje do cierpień tysiąca!
Nie rozbroi szydercy łza w twém oku drżąca,
Nie ubłagają względu twój smutek i męki,
Ni litości gasnące i zdrowie i wdzięki.
Okrutni! lecz was dzikie omylą rachuby!
Wiecznie wart bydź przeklętym, kto widząc łzy lubéj,
Łzy które otrzeć może, w lękliwym zapędzie
Na was, i na świat cały chwilę zważać będzie.

CHODŹ DO MNIE.

I.

Chodź do mnie moją dziewczyno!
Niech cię do serca przytulę!
Samotne godziny płyną,
A ja cię kocham tak czule!
Tęskno mi, pusto bez ciebie;
Zlituj się — na chwilkę do mnie!
Choć chwilkę przebędziem w niebie;
Dziewczyno moja — chodź do mnie!

II.

Pień smutny w korze usycha;
Powój się czołga wśród boru,
Pień dawno do kwiatka wzdycha
A kwiatek słaby bez wsporu.

Trawi się ogniem młodzieniec!
Dziewica — westchnęła skromnie;
Pień uschły umaił wieniec,
Dziewczyno moja — chodź do mnie!

III.

Jeźli cię smutek przyciśnie,
Ja w serce pociechę wleję;
A gdy radość w licu błyśnie
I ja się z tobą rozśmieję!
Od wichrów zadrżały bory!
Pień silny stoi niezłomnie;
Powój się trzyma podpory;
Dziewczyno moja — chodź do mnie!

IV.

Będziem się wspiérać wzajemnie,
W każdéj złączeni potrzebie;
Ty będziesz silną przezemnie
A ja szczęśliwy przez ciebie!
A gdy Bóg, śmierci anioła
Z palmą chwały ześle po mnie,
I wtenczas dusza zawoła:
Dziewczyno moja — chodź do mnie!

* * *

PORÓWNANIE.

Miłość jest jak ten strumień w swym spadku gwałtowny,
Co się z źródeł nieznanych rzuca w kraj czarowny.
Ileż się w nim nadbrzeżnych piękności odbija,
Ileż wdzięków gęsi! — on wszystkie przemija,
I jeden tylko obraz odbijając wszędzie,
Zawsze toż samo słońce w swoim nurcie pędzie;
Z niém się chmurzy, rozjaśnia, lata, wieki płynie,
Z niém wszystkie mija losy i z niém w morzu ginie.

F. M.

ŻEGLARZ.

Patrz! jak od lądu czółno odbija;
Wiosiennych kwiatów zdobi go wieniec,
Lekki pęd wiatru żagiel rozwija,
I silnie wiosłem robi młodzieniec.

Z morskiego łona powstało słońce,
Za czółnem złota wije się wstęga,
A kiedy wiosło fali dosięga
Zda się, że iskier błysną tysiące.

Dokądże płyniesz żeglarzu młody?
Dokąd cię niesie umysł burzliwy?
Bez wstrętu ojców rzucasz zagrody!
Czy w nich nie byleś szczęśliwy?

Na czém w rodzinnéj ziemi ci zbywa?
Czy nie dość czystym kryształ strumieni?
Czy nie dość czule słowik ci śpiéwa?
Nie dość wesoło gaj się zieleni?

Nie słucha: oko w niebo wlepione,
Poranku uśmiéch, uśmiéchem wita,
I śmiałą dłonią za lutnię chwyta,
I śmiałą dłonią uderza w stronę:

Nadziejo! któréj płomień uroczy
W kraj złudzeń duszę młodego wznosi,
Co marą szczęścia mamisz nam oczy,
Ciebie on śpiéwa, ciebie on głosi!

A jeźli kiedy, przeszłe wspomnienie
Zbytni żar tonów nieco złagodzi,
Tak miłe lutnia wyda westchnienie,
Jak miły wietrzyk co upał chłodzi.

I znów wesoło — i znów z kolei
Trącane strony brzękły miłośnie,
Bo czyjeż serce, w dwudziestéj wiośnie,
Nie zna miłości? nie zna nadziei?

Lecz patrz! silniejszy wicher się zrywa:
A choć przed czółnem nieba się chmurzą,
I choć pod czółnem wody się burzą,
On śmieléj płynie, weseléj śpiéwa.

Jakże się szybko od nas oddala!
Dźwięk lutni słabnie — słabnie i kona,
Już tylko słyszę, kiedy śpieniona
O skałę trąci i pryśnie fala.....

—A gdy po dziennym słońce obiegu
W przepaściach morskich oblicze kryło,
Do piaszczystego, spiekłego brzegu
Z dalekiéj strony, czółno przybiło.

Zwiędłe nań kwiaty, chylą się smutnie,
Pęknięte liny, wiosła strzaskane:
Pod zdartym żaglem czy widzisz lutnię,
Widzisz u lutni strony zerwane?

A chociaż niebo w błękity strojne:
Chmur przeszłych zdala widać gromady;
A chociaż morskie fale spokojne:
Po białych pianach widać burz ślady.

I twarz żeglarza spokojną była;
Jednak ponura myśl skronie chmurzy,
I w bladych rysach przeszłość wyryła
Głębokie znaki przebyłych burzy.

Przeszłego szczęścia niestarte ślady,
Gwałtownych uczuć zgasłe płomienie,
Zwiędłe nadzieje, i zgryzot jady,
I doświadczenia zimne spojrzenie.

W stronę zkąd płynął, tam zwrócił lica,
I czarnym wzrokiem, czarny męt porze,
Chciałby zapłakać; wyschła źrenica
Łzy nawet kropli puścić nie może.

I z stron pękniętych smutne brzmią głosy,
I wiatr unosi rozpierzchłe włosy,
To raz odsłonią, to skryją głowę,
Jak cień cyprysów słupy grobowe.

* * *

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

O jakże słodko twoja rozkosz wzrusza,
Piérwsze uczucie piérwszego kochania,
Jakże się tobie młoda dziwi dusza;
Piękniejsza wdziękiem dumania.

Cóż to za nagłe uczuła ocknienie,
Ileż w niéj trwogi, rzewności, słodyczy,
Cóż to za lube i rozkoszne drżenie,
Miesza jéj pokój dziewiczy.

Jest to woń boska nieznanego kwiatu,
Gdzieś tam z dalekiéj przywiana krainy;
Gwiazda innemu jaśniejąca światu,
Uśmiéch marzącéj dzieciny.

Wznosi się czuciem biała pierś dziewicy,
Jak śnieżny żagiel lekkim wiatrem wzdęty,
Kiedy przed chwilą czarnéj nawalnicy,
Przez morskie płynie odmęty.

Jeszcze ta burza w głębi wód spoczywa,
Jakby myśl czarna w sennych marzeń roju;
Jeszcze te morza czysta noc pokrywa;
Przyświéca gwiazda pokoju.

Puszcza się, płynie żeglarz nieświadomy,
W pierwszéj, urocznéj, młodych uczuć wiośnie;
Lecz ten co przetrwał już burze i gromy,
Jakże nań patrzy litośnie.

Próżnoby, próżno chciał go zwracać z drogi,
Tam gdzie go wiernie dawny pokój czeka;
Ach! ktożby słuchał natrętnéj przestrogi,
Gdy wszystko szczęście przyrzeka.

Gdy po tém świetném tylu gwiazd przestworzu,
Najmniejsza jeszcze chmurka nie przemija,
I gdy w tém morzu, niezmierzoném morzu,
Całe się niebo odbija!

Piérwsza miłości! ty z nad gwiazd przybywasz,
Wdzięki i szaty strojna anielskiemi;
Lecz, jak ten urok, z którym do nas spływasz,
Prędko na téj gaśnie ziemi!

Jak prędko w błędne puszczeni bezdroże,
Płaczemy twojéj słodyczy niezwrotnéj;
Czemuż ci, serce zatrzymać nie może,
W twojéj czystości pierwotnéj?

Wszystkoż więc człowiek tak marnie rozproszy,
Największych nawet darów nie oceni,
I każdeż źródło szczęścia i rozkoszy,
Sam w źródło nieszczęść zamieni?

F. M.

SZAL CZARNY

z Alexandra Puszkina.

Rozpaczą, wściekłością i żalem miotany,
Poglądam dzień cały na szal krwią zbryzgany.

Przed laty gdym jeszcze był płochy i młody,
Kochałem greczynkę przecudnéj urody.

Przecudna dziewica łudziła mię wzajem,
Lecz krótko, ach krótko świat dla mnie był rajem!

Sprosiłem przyjaciół na ucztę wspaniałą,
Do drzwi mych żyd podły zapukał nieśmiało.

»U ciebie, rzekł, goście godują weseli,
Greczynka z kim innym pieszczoty swe dzieli.«

Z przeklęstwem mu kiesę cisnąłem pod nogi,
Mój arab za chwilę był gotów do drogi.

Jak wicher, jak piorun leciałem przez błonie,
Wiatr świszcząc wokolo, żal głuszył w mém łonie.

Lecz próg jéj zaledwo ujrzałem zdaleka,
Krwią serce zabiegło, łzą trysła powieka.

Jak wściekły pobiegłem w znajome ustronie,
Ormianin niewierną piastował na łonie,

Skry w oczach mi błysły, miecz zagrźmiał, uderzył,
Nim usta od ust jéj odchwycił — już nie żył.

Patrzałem z roskoszą, jak drżąca i zbladła,
Dłoń wznosząc, na klęczkach do nóg mi upadła.

Pamiętam błagania, krwi strumień i jęki,
Zginęła greczynka i miłość i wdzięki.

Z wściekłością szal czarny zerwałem z jéj skroni,
I krew nim ciekącą otarłem z méj broni.

Niewolnik mój, skoro wieczorna mgła wstała,
W głębinie Dunaju powrzucał ich ciała.

Ach! odtąd mię piękność przywabia daremnie,
Ach! odtąd sen cichy uleciał odemnie.

Rozpaczą, wściekłością i żalem miotany,
Poglądam dzień cały na szal krwią zbryzgany.

Ant. Edw. Odyniec.

ŚPIEWAJĄCE JEZIORO. *

Miesiąc ku górom wzbity na pół,
Gdzieś nie gdzieś włosy promienne snuł,
I coraz jaśniéj, jaśniéj w jeziorze
Malował niebios błękit i zorze.

Niżéj i wyżéj po bokach gór,
Głośno azyjskich słowików chór,
Po skałach, wodach, stokroć zmącony,
Odśpiéwał nieszpór dla dzikiéj strony.

* Wzmianka w dziełach Klaprota, o śpiewających jeziorach w Kaukazie, była powodem do napisania téj fantazii. Miara wiérsza zastosowana jest ściśle do pewnéj nuty czerkieskiéj.

I od Elbrusa na złomy skał,
Błękitną wstęgą strumień się zwiał,
I rozdmuchniony na smug tam świeży,
Żyjącém srébrem błyska i bieży.

W szacie powiewnéj, białéj jak puch,
Za nim po smugu uganiał duch?
Nie — to Czerkieska, piękna Majuma,
Sama w pustyni błądzi i duma.

Staje. — I skądże? jaki to śpiew?
Ptaszęta spią już w gęstwinie drzew;
Toż Czarnomorca w noc, na pogoni,
Nuta dnieprowskich dum aż tu dzwoni?

O! nie dnieprowskich nuta to dum,
To jakiś srébrny, przeciągły szum,
Luba harmonija tonów tysiąca,
Mile niebieskim arfom wtórząca.

Słodki, czarowny, powietrzny brzęk,
Jak owych pieśni huryssek dźwięk;
Co przy dziewicy, w letni poranek,
Sniący na kwiatach roi kochanek.

Słucha Majuma nieziemskich słów,
Słucha, pobieży — i słucha znów,
I znów pierzchliwa, lekka jak łania,
Płocho ulotny rozdźwięk ugania.

Bieży — i miléj, miléj co krok,
Czaruje serce, i słuch, i wzrok...
Śpiéwa jezioro — kwitnie dolina,
I wszędy ustroń cicha, jedyna.

I czarodziejka, skinieniem rąk,
Kwiatek po kwiatku przynęca w pąk,
Strojne w stóbarwe brylanty rosy...
I wieńcem więzi rozwiane włosy.

U śnieżnéj piersi miota się kwiat...
W sercu to milszych, minionych lat,
Nagle zadrżała pamiątka skora,
Gwiazd milijonem — jak tło jeziora.

»Nim ów (mówiła) polubił bój,
»O ileż razy Muradyn mój,
»Zemną tu błądził — i błogo, miło,
»Wtedy jak dzisiaj niebo nuciło."

»Tutaj kochany w dłoni méj dłoń,
»Całował piersi, usta i skroń,
»Całował, pieścił, i w oku oko,
»Sercem do serca wzdychał głęboko."

Na wodzie ciemny rozlał się ślak...
Cóżto? bezsennyż, złowieszczy ptak,
W noc, ku jasności zdąża tam górą...
To chmura! — miesiąc owiany chmurą.

I znowu jasność — Majuma znów:
»Darmo się pytam, gdzie jest? czy zdrów?
»Źli Uzbenowie * szydzą nieczule,
»Smutno mi, nudno, w pustym aule. **

»O! by miał tyle co dziécię sił,
»Na ptasich skrzydłach już by tu był;
»Pewnieby wolał, niż sławne boje
»Całować usta i piersi moje."

Pochyla głowę. — I nowy cud!
Siédm arf na jasném zwierciedle wód,
Siédm arf na niebie wdzięcznie się mącą,
Niby chcą zwabić duszę tęskniącą.

»Arfy gwiazdziste czas już o czas,
»Stróny od niebios widzę i was!
»Po tych ja strónach pieśnią wypłynę,
»W piękniejszą, milszą duchów krainę.

»Xiężycu! góry! dobra noc wam!
»Stary mój ojciec żyć będzie sam,
»I do haremu smutnéj nie przeda!...
»Milszy o milszy raj Mohameda!"

Pieśń od jeziora dzwoni raz wraz,
I chmura xiężyc ćmi jeszcze raz,
I rozigrane w cieniu świetliki,
W złote hurysskę barwią promyki.

* Uzben, ślachcic lub rycerz czerkieski.
** Aul; zowie się tak u czerkiesów mały zameczek.

Gwiazda po niebie ślizga się wzdłuż,
Gaśnie. — I niemasz Majumy już...
Tylko na wodzie szybko u brzega,
Kręg się za kręgiem fali rozbiega.

A miesiąc w blasku zagląda w dół,
I olśnia wieniec z kwiatów i ziół,
I coraz jaśniéj, jaśniéj w jeziorze,
Maluje niebios błękit i zorze.

J. B. Z.

LUTNIA SURY.

(MYŚL Z PERSKIEGO.)

W przestrzeni co granic niéma,
Siedzi, na wieków stolicy,
Sura, w szatach z błyskawicy;
A na łonie lutnię trzyma
I przegrywa.
A na czarodziejskie tony
Dźwiga się ruch nieznużony,
Zycie wiecznością przepływa;
A pod majestatem,
Duchy światów, duch za duchem,
Niepomieszanym, niewstrzymanym ruchem,
Przetaczają świat za światem;

Wiek po wieku, ród po rodzie
W harmonijnym krążą chodzie:
Bo muzyka Sury
Wiecznością i życiem natury.
Niechże na chwilę ustanie,
Wnet ustanie życie świata:
A cichość i noc lodowata,
Zalegną mętne otchlanie.

I strón niema lutnia Sury;
Lecz kiedy słońce słońców przytoczy się ku niéj,
Ona ją wtedy podnosi do góry,
Aż promieniami jego się ostruni.

Wy co bezstrunną lutnią obdarzeni,
Chcecie nam przesłać dźwięk wyższych pieni,
Choć harmonijne natchnienia słońce,
Nie rozpromienia waszych dusz strunami:
Przestańcie walczyć z martwemi tonami,
Rzućcie narzędzia niezgodnie brzęczące.

Żelazna struna próżno się porusza:
Wasza łza zimno po sercu przeplynie;
Wasz uśmiéch szczéry nasze usta minie;
Ani wasz smutek rozczuli,
Ani pociecha utuli:
Bo duszy świata potrzebuje dusza!

Seweryn Goszczyński.

ALMOTENABY. *

(Z ARABSKIEGO WEDŁUG TŁOM. LAGRANŻA.)

Pókiż przez głuche piaski i przez dzikie lądy,
Mam lecieć za gwiazdami, wypuściwszy wodze,
Gwiazdy nóg nie mające nie ustaną w drodze,
Jak ustają znużeni ludzie i wielbłądy.

Gwiazdy patrzą się wiecznie, bo nie mają powiek,
Znużonych bezsennością, jak podróżny człowiek,

* Almotenaby sławny rycerz i poeta Arabski, wygnany ze swéj ojczyzny, udał się do Egiptu, do przyjaciela swego, Sultana Abu Chodża Talik, którego gdy już przy życiu nie zastał, opuścił Egipt i w podróży tę kassydę ułożył.

Słońce nam poczerniło oblicza i czoła,
Siwym włosom czarności przywrócić nie zdoła.

Czyliż sędzia niebieski sroższym dla nas będzie,
Niżli ziemscy, litości nie mający sędzie?

Wody mam dość na drogę — kiedy z dészczem płynie,
Zbiéram ją i w skórzane zamykam naczynie.

Pędzę z gniewem wielbłądy: nie gniewam się na nie,
Lecz niech czują że z panem idą na wygnanie.

Wyjeżdżając z Egiptu do wielbłądów rzekłem:
»Bieżcie, i przednie nogi popędźcie tylnemi,"
I opuściwszy Egipt, jak strzała uciekłem,
Przez sąsiedzkie krainy Dżars i Alelemi.

Darmo rumak arabski wyprzedzić mię żąda,
Kark jego leci w poręcz z garbami wielbłąda.

Młody mój orszak zna się dobrze ze strzałami,
Jak guślarz co je miesza, gdy lud wróżbą mami.

Ilekroć turban zdejmę, włos czarny i długi
Wije się na ich głowach, jakby turban drugi.

Choć puchem młodocianym okryte ich skronie,
Ręka ich wali jezdce i zabiéra konie.

Więcéj zdobyli łupów, niż mieli nadzieję,
Jednak łup ich głębokiéj żądzy nie naleje.

Ich bitwa, jak u pogan, wieczna i zacięta,
A bezpieczni pod bronią, jakoby w dzień święta.

Nieme dzidy z ich ręki wypuszczone w pole,
Nauczyły się świstać jak skrzydła sokole.

Nie ustaną wściekłości chociaż się zapienią,
I depcąc Regl i Ganem, nogi uzielenią.

Bicz mój od cudzéj łąki wielbłąda odstraszy,
Bo tylko na gościnnéj odpoczniemy paszy.

Dziś Pers i Arab będzie pastwiska nam skąpił,
Bo Abu Chodża Talik, do mogiły zstąpił.

Lud egipski drugiego Talika nie liczy,
Jego miejsca na świecie nikt nie odziedziczy.

Abu Talib za życia nie miał równych sobie,
Dzisiaj wszyscy umarli równi jemu w grobie.

Jegom szukał mém okiem, wołał memi usty,
Cóż znalazłem dokoła? — świat głuchy i pusty.

Tam wrócilem skąd niegdyś byłem wędrownikiem,
I znowu chcę z piórami odnowić zabawę,
Ale mię pióro czarnym ostrzegło językiem:
» Nie piórem ale mieczem zarabiaj na sławę.

Weźmiesz pióro gdy rękę zmordujesz żelazem,
Pióro pracuje tylko za miecza rozkazem."

Tak mię pióra uczyły w przyjaznéj rozmowie,
Trzeba było posłuchać, z głupstwa się uleczyć,
Nie słuchałem; i teraz nie mogę zaprzeczyć,
Żem sam sobie zaszkodził, że mi braknie w głowie.

Mieczem można się tylko celu życzeń dobić,
Spytaj czy kto na życie mógł piórem zarobić.

Gdy podróżujesz, obcy lud patrzy na ciebie,
Jak gdybyś żyć przychodził, o żebranym chlebie.

Niesprawiedliwość ludzkie rozdziela plemiona,
Chociaż wyszliśmy wszyscy z jednéj matki łona.

Ha! dziś inaczéj będę gościnności szukać,
Wprawny do miecza, mieczem będę do drzwi stukać.

Niechaj oręż rozstrzygnie, kto karku uchyli,
Czy owi co ciérpieli, lub ci co gnębili.

Oręża z ręku naszych wydrzeć im nie damy,
Dłoń moja nie ma drżączki, a miecz nie ma plamy.

Niechaj wzrok do bolesnych widoków przywyknie,
To co widzisz na jawie, jak sen prędko zniknie.

Nie skarż się, bo źli ludzie z twojéj skargi dźwięku,
Cieszą się jako sępy z konających jęku.

Dobra wiara uciekła i osiadła w xięgach,
Darmo szukać jéj w ludzkich mowach i przysięgach.

Chwała Bogu wielkiemu! stwórcy mojéj duszy!
Z jego łaski i trudy i nieszczęścia znoszę,
I na długiém wygnaniu znajduję rozkosze,
Kiedy inni w najsroższéj dręczą się katuszy.

Nad cierpliwością moją dziwiły się losy,
Bo twardsze ciało moje, niżeli ich ciosy.

Śród teraźniejszych ludzi smutnie płyną chwile,
Wolałbym żyć przed wieki, a dziś być w mogile.

Czas ojciec, będąc młodym, naszych przodków stwarzał,
A nas nikczemnych spłodził, gdy się już zestarzał.

ADAM MICKIEWICZ.

O Poezji, i jéj krytykach,

DWIE ROZMOWY.

ROZMOWA PIERWSZA.

Syn. (*daléj czytając*) Jéj wady były mojemi; jéj cnoty do niéj należały; kochałem ją i zabiłem. *Wróżka Alp.* Twoją ręką? — *Manfred.* Nie, mojém sercem, które skruszyło jéj serce. Wpatrzyła się w duszę moją, i uwiędła. Przelałem krew, nie jéj; a jednak jéj krew była wylana.. Widziałem ją, i zatamować nie mogłem. — *Wróżka Alp.* I dla téj istoty,

z rodzaju którym pogardzasz, i nad który chciałbyś się wynieść, mieszając się do nas i do naszych! dla tego, odrzucasz dary naszéj wielkiéj nauki, i zstępujesz aż do ludzkości! Oddal się. — *Manfred.* Córko powietrza, powiedzialem ci: od téj godziny.. ale słowa są tylko wiatrem; patrz na mnie w uśnieniu, albo śledź moje długie bezsenności, usiądź przy boku moim. Moja samotność nie jest już samotnością: przez furyje zaludniona. Zgrzytałem zębami w ciemnościach aż do powrotu jutrzenki; do zachodu słońca przeklinałem siebie; jak dobrodziejstwa przyzywałem obłąkania — odmówione mi. Wyzywałem śmierci — ale w żywiołów wojnie wody ze wstrętem cofały się odemnie; rzeczy okropne mijały mię bez szkody. Zimna ręka nielitośnego szatana zatrzymała mię nad otchłanią na włosku, który się nie przerywał. Zatopiłem się w marzeniach mojéj wyobraźni; w bogatéj obfitości duszy, która niegdyś skarby tworzyła: lecz jakby gniewna fala odrzucała mię znowu w nieprzejrzaną przepaść myśli. Wmieszałem się śród ludzi; szukałem zapomnienia wszędzie, wyjąwszy tam gdzie się znajduje, i dotąd znaleść go nie mogę..

Pan Jędrzej. (*przerywa*) Cóż to jest, dla Boga! w tém sensu niéma.

Syn. Co? niéma sensu w Manfredzie Byrona?. O! co za wielki, niezmierzony gienijusz! nieprawdaż, mój ojcze?

Ojciec. Z roskoszą przypominam sobie to głębokie dzieło wielkiego poety. Ale przekład, mój synu, nie zdaje mi się szczęśliwym. Powiédz twemu przyjacielowi iż trzeba tłómaczyć koniecznie z oryginalu. Lecz skończymy później; gdyż to czytanie może nie bawić gościa.

Pan Jędrzej. Chyba żartujesz, tak mówiąc. Wszak to co słyszałem jest, dalibóg, bez sensu. Zgrzytał zębami, szatan schwycił go zimną ręką, wtrącił w przepaść myśli! Co to ma znaczyć? Na uczciwość, wy żartujecie: to jakieś okropne głupstwo; to pisał jakiś szaleniec.

Syn. Czy pan od przytomności odchodzisz?...

Ojciec. Adolfie, bądź grzeczniejszy. Mógł się Byron panu nie podobać. Wreszcie słyszał tylko mały kawałek.

Pan Jędrz. Nic nie szkodzi; pozwól mu mówić. Przecież i w najmniejszym kawałku sens być powinien. A tu...

Syn. Jak pan śmiész wymówić takie bluźnierstwo!

Ojciec. Adolfie, odejdź: nadto się unosisz.

Syn. Wolę odejść, mój ojcze.

Ojciec. Przepraszam cię za mego syna: młody i gorączka. Cóż tam w mieście słychać?

Pan Jędrz. Nic nie słyszałem. Ale wiész że ja tego pojąć nie mogę. Takim mówiłeś tonem, jakbyś dzielił jego przekonanie. Przecież jestem przy zmysłach; rozumiém co do mnie kto mówi; wiém znaczenie wyrazów. Ale w tém coście czytali, na honor, niéma sensu za trzy grosze. Ty, człowiek rozsądny, pozwalasz synowi tak się obłąkiwać!. Pokażno to arcydzieło. (*czyta*) *Moja samotność nie jest już samotnością: przez furyje zaludniona.* Co to jest? *Samotność nie jest samotnością;* to tak jak gdyby powiedział: *mój surdut nie jest moim surdutem*, albo: *moja ręka nie jest moją ręką;* a czémże jest u licha?. *Zgrzytałem zębami w ciemnościach aż do powrotu jutrzenki.* Z jakiejże przyczyny zgrzytał zębami? Czy szalony, czy wściekły? Nowa jakaś poezija w zgrzytaniu zębów! To poezija potępieńców.. *do zachodu słońca przeklinałem siebie..* Co to jest? Czegoż on siebie przeklinał? Chyba za niedorzeczności które popisał.. *jak dobrodziejstwa przyzywałem obłąkania — odmówione mi..* Jaka w tém myśl, gdzie związek, sens? To są słowa tylko, vox, vox. Zgrzytał zębami, potém był zachód słońca, potém się przeklinał, potém przyzywał obłąkania! Na uczciwość, kto tak

pisze, ten już jest w zupełném obłąkaniu.. *Wyzywałem śmierci*.. Ach, czemuż go nie wysłuchała przed napisaniem tego dzieła!. *ale w żywiołów wojnie wody ze wstrętem cofały się odemnie*.. Co u diabła!. już wskoczył do wody! Na honor, nie będę go ratował, niech się topi. Cha, cha, cha! Oto mi poezija! Słowo daję, nic piękniejszego! chi, chi, chi! Dalibóg, gienijusz nie lada!

Ojciec. (przeszedłszy po pokoju) Gdzież dziś przepędzasz wieczór, szanowny panie Jędrzeju?

P. Jędrz. Co tam wieczór! Czemu nic nie odpowiadasz? Wszakże chwaliliście że to jest bardzo piękne.

Ojciec. Mówmy o czém inném.

P. Jędrz. Owszem; dla czego? Co piękne, każdemu się podoba. Czytajmy jakiego dobrego poetę; a będę chwalił; i przyznam co w nim jest ładnego. Weźmy n. p. *Krasickiego;* jego bajki, satyry. Jaka przyjemność, dowcip! jak najmniejszą rzecz umié wystawić, ożywić! Weźmy najlżejsze listy, w materyjach najpospolitszych, oklepanych; niech mówi o polowaniu, o prostéj wilczurze: wszędzie *Krasicki, Krasickim.* Co za łatwość, jasność, naturalność! Niéma tam ani zgrzytania zębów, ani obłąkania... Cóż? uśmiéchasz się?

Ojciec. Nie chcę przez to uwłaczać Krasickiemu.

P. Jędrz. Więc przyznaj że chyba na żart, na śmiech to chwaliłeś.

Ojciec. Przyznaję; żebyś już o tém skończył. Jednak że jestem ci przychylny, i że zkądinąd prawdziwie cię szanuję: radzę, abyś się nie przed każdym zapuszczał w rozprawę o pięknościach poezii.

P. Jędrz. Dziękuję za radę. Ale ciekawy jestem dla czego tak mówisz? Zdaje mi się, iż mam jakikolwiek rozsądek; i że mogę poznać co jest rzeczywiście piękne. Lecz owszem, przekonaj mię, oświeć; mów, proszę.

Ojciec. Kochany panie Jędrzeju, to, nad czém tak dowcipnie żartowałeś, jest wyjątkiem z dzieła które Anglicy liczą do celniejszych skarbów swojéj literatury.

P. Jędrz. Niewiém. Być może.. Jednak gdzie niéma sensu,.

Ojciec. Dla ciebie: tam jeszcze może on być dla innych. Gdybyś się nie gniewał, zrobiłbym ci takie porównanie. Weź jaką bajkę Krasickiego, którego tak sprawiedliwie chwalisz, n. p. tę krótką:

Potok, szybko bieżący po pięknéj dolinie,
Wymawiał wielkiéj rzéce, że pomału płynie.
Rzekła rzéka: nim zejdą porankowe zorza,
Ty prędko, ja pomału wpadniemy do morza.

Wszak prawda że jest piękna?

P. Jędrz. Oczywiście; i każdy się na to zgodzi.

Ojciec. Przeczytaj ją twemu służącemu. A gdy go zapytasz o szczére zdanie, odpowié pewno: że bajki jakie słyszy w kuchni, są nierównie piękniejsze. Jeźli nawet jest człowiekiem zupełnie rozsądnym, zrobi ci uwagę, iż potoki i rzéki nie mają mowy; że więc to coś mu przeczytał, jest niewiedzieć co i nie ma sensu. Podobnież, postaw mu przed oczy które z arcydzieł malarstwa, obok powleczonéj jaskrawemi farbami figury chłopa pijanego, lub żyda śmiésznie siedzącego na wychudłym koniu: a zobaczysz, iż mniéj mu się podobają płody *Rafaela* lub *Corregia* jak chłop pijany, albo żyd na koniu; — gdyż do osądzenia dzieł wspomnionych mistrzów, brak mu jest potrzebnego usposobienia.

P. Jędrz. Dziękuję ci za komplement.

Ojciec. Nie gniewaj się..

P. Jędrz. Przecież, Bogu dzięki, nie jestem prostym lokajem; a dzieła *Krasickiego*...

Ojciec. I jemu podobnych rymotwórców, tém są obok dzieł *Byrona*, *Szylera*, i im podobnych poetów, czém n. p. malowidła szkoły flamanckiéj, przy utworach *Bonarottego* i *Rafaela*. Dosyć mieć zwyczajne oko aby sobie upodobać wizerunek wieśniaka palącego fajkę, lub gospodyni zajętéj kuchennym stołem.

Każdy patrząc na to, powié: jak to naturalne, jak prawdziwe! Lecz aby się zachwycić n. p. *nocą* Corregia, i godnie dzieło to ocenić, trzeba do tego jeźli nie talentu, przynajmniéj wyższéj znajomości sztuki.

P. Jędrz. A to najlatwiéj powiedzieć: nie sądźcie mię, nie możecie mię sądzić! Uwielbiajcie, bo ja jestem mistrz, jestem wielki gienijusz! To bardzo łatwo.

Ojciec. Bardzo łatwo. Lecz ja nie mówię o szarlataneryi. Kiedy nawet religija ma falszerzów i hipokrytów, nie dziwujmy się że poezija znajduje swoich szarlatanów. Chciałem tylko powiedzieć...

P. Jędrz. Żem głupiec; i że o niczém nie mogę sądzić..

Ojciec. Ale..

P. Jędrz. Zdawało mi się jednak, iż nie jestem człowiekiem dzikim. Odbyłem także jakiekolwiek nauki...

Ojciec. Bez urazy, szanowny panie Jędrzeju. Wszakże się nie gniewałem gdy robiąc *Byrona* warjatem, nie przyznawałeś tém samém i mnie zdrowych zmysłów, mnie, który go uwielbiam. Wiém dobrze, iż w swoim czasie ukończyłeś szkoły, nawet z większą od wielu korzyścią; lecz poezija to ma do siebie, iż aby o jéj pięknościach wyrokować; aby na jéj polu

okazać się trafnym i biegłym krytykiem: trzeba do tego koniecznie być obdarzonym od natury darami serca i wyobraźni, jakich ona nie wszystkim udziela. Więcéj powiem; jestem przeświadczony, iż godnie i zupełnie ocenić *wielkich poetów*, mogą tylko *wielcy poeci*. Czytaj w licznem i światłém zgromadzeniu n. p. *Ideały* Szylera. Wszyscy się zgodzą, że to jest piękne, nawet bardzo piękne. Lecz w gorejącéj myśli, w najwyższém wzruszeniu duszy, we łzach zachwycenia i roskoszy, może ledwo jeden będzie tam słuchacz zdolny ocenić *Szylera*; i gdy jednego znajdziesz, będzie to jeszcze szczęśliwe zgromadzenie. *Wielki poeta* jestto człowiek wielkich myśli i uczuć, duszy wielkiéj. Ztąd śmiało można utrzymywać: iż utwory prawdziwéj poezii są dostępne tylko dla małéj liczby ludzi. Ogół czytelników, zwykle nie mający własnego zdania, z czasem powtarza ich pochwały, ale poznać całkowicie ich piękności nie zdoła.

P. Jędrz. A czemuż są poeci, którzy nietylko tym rzadkim fenixom, tym wybranym gienijuszom, lecz w powszechności wszystkim się podobają?

Ojciec. Pozwolisz że znowu wezmę przykład z malarstwa. Przyznasz zapewne, iż nie wszyscy mogą zdrowo sądzić o dziełach mistrzów tego pięknego kunsztu. Najlepszym jest na to dowodem, iż nieraz

od nieznawców te obrazy były nabyte za lada co, lub nawet darmo, za które potém znawcy milijonów nie żałują. Przeciwnie, utwory pospolite, małe, lubo w porównaniu z piérwszemi są prawie bez wartości, n. p. drobne kolorowe obrazki, żołniérze w rozmaitych mundurach, i t. p. powszechnie wszystkim się podobają. Nie dla tego jednak to mówię abym mniemał, że i w wykonaniu małéj na pozór rzeczy nie można okazać większego talentu. To porównanie da się zastosować i do sztuk innych. Grając n. p. piękny koncert, zachwycisz małą tylko liczbę znawców; gdy zagrawszy pospolitą piosnkę, lub taniec, podobasz się wszystkim słuchaczom.

P. Jędrz. Cóż stąd wnieść?

Ojciec. Że bardzo często za *poezyją* biorą *wiérszopistwo*. Tymczasem, aby zostać dobrym *wiérszopisem*, dosyć jest mieć cokolwiek żywszy dowcip; często nawet wystarcza ku temu, przy wprawie, prosty, pospolity rozsądek: — aby być *poetą*, trzeba posiadać niepospolity umysł; twórczą wyobraźnię; serce namiętne i wyższe. Fałszywie utrzymują że *poezyja* wszystkim się podoba; należy to mówić raczéj o *wiérszopistwie*. Rym, miara, dział na strofy, mają w sobie coś muzykalnego; i wiérsze, jakby tony jakiego instrumentu, sprawują przyjemność zmysłom.

P. Jędrz. A to jest przedziwnie! Więc podług ciebie, *Krasicki*, *Trembecki*, *Kochanowski*, są tó wiérszoklety, którzy nie umieli przemówić do duszy?

Ojciec. Tego nie utrzymuję; i nie ku temu zmierzałem, aby uwłaczać naszym zasłużonym pisarzom. Ale dla objaśnienia mojéj myśli wezmę n. p. co z *Krasickiego*, którego zdajesz się najwięcéj lubić. Wspominałeś o jego bajkach; uważmy n. p. ich zaczęcie, które zna cały naród, którego w szkołach uczą na pamięć dzieci..

P. Jędrz. (*przerywając.*)

Był młody, który życie wstrzemięźliwie pędził;
Był stary, który nigdy nie łajał, nie zrzędził;
Był bogacz, który zbiorów potrzebnym udzielał;
Był autor, co się z cudzéj sławy rozweselał;
Był celnik, który nie kradł; szewc, który nie pijał;
Żołnierz, co się nie chwalił; łotr, co nie rozbijał;
Był minister rzetelny, o sobie nie myślał;
Był nakoniec poeta, co nigdy nie zmyślał..
A cożto jest za bajka? Wszystko to być może.
Prawda; jednakże ja to między bajki włożę.

Ojciec. Tak jest; to samo.

P. Jędrz. Może nic nie warte?

Ojciec. Dowcipne, przyjemne *wiérsze*, lecz nie jest to *poezija*. I że jéj tu niéma, dla tego właśnie te wiérsze mogą być od wszystkich ocenione, i wszystkim się podobają. Ten sam *Krasicki* ma niekiedy

obrazy i czucie prawdziwego poety, n. p. w niektórych miejscach *wojny chocimskiéj*:— w nich też właśnie jest najmniéj popularny. Wreszcie mówiąc to, dotykam myśli trudnéj i rozległéj, o granicach poezii; o czém nie miejsce tu rozprawiać. Lecz i z tego przekonywasz się zapewne, że nie każdy może być w niéj sędzią. Zostawmy to, zacny Jędrzeju, ludziom którzy się téj sztuce poświęcili; którzy albo otrzymali wyłączne ku niéj dary, albo, gdy nie mają robić co lepszego, przynajmniéj wiele czytając i rozmyślając, przyjmują stosowne wyobrażenia kunsztmistrzów.

P. Jędrz. Ciekawy bylbym wiedzieć co nazywasz tą sztuką? Czém, podług ciebie, jest *poezija?*

Ojciec. Ważne pytanie. *Poezija* jest duszą świata; ogniem gienijuszów. (*z uśmiéchem*) Ale to wyda ci się tak śmiészne jak owo *zgrzytanie zębów.* I słusznie. Nie chcąc więc nudzić długą rozprawą, powiém raczéj czém nie jest poezija. Poezija nie jest bynajmniéj igraszką, zabawą; nie jest wypoczynkiem umysłu, jak to wielu rozumié. Minęły czasy, kiedy można było zrobić sobie reputaciję poety przez *zabawki* albo *rozrywki wiérszem.* Umysł ludzki postępuje, szanowny panie Jędrzeju.

P. Jędrz. Niech postępuje. Lecz tego we mnie nie wmówisz abym miał chwalić, w czém nie widzę myśli i sensu.

Ojciec. Broń Boże! Nie czyń tego nigdy. Przebacz jednak, iż znając twój tryb życia, powiém ci otwarcie, że nie dosyć czytałeś w materyi o któréj mówimy. Widzisz ten zbiór xiążek mego syna? Prawie wszystkie traktują o przedmiotach poezii, estetyki, i filozofii. (*z uśmiéchem*) A gdybym cię wziął na examin..

P. Jędrz. To widzę po większéj części niemieckie. Nie czytam tych warjatów. To są marzyciele.

Ojciec. Bardzo słusznie. Skończmy tę rozmowę; gdyż możebyś i mnie nie przyznał całkowitéj przytomności. Szczęściem! dzisiejsza nasza młodzież nie zupełnie jest twego przekonania. Mało mieliśmy lat oświaty; a i tych co były, nie najlepiéj u nas użyto. Czas już, przyjacielu, zapuścić się głębiéj w świat myśli: jeźli śród doskonalącego się rodu ludzkiego nie mamy sobą stanowić kolonii dzieci, lub niedołęgów.

P. Jędrz. Żartuj zdrów! Fabryki się rozszérzają; przemysł się rozwija: możemy nie troszczyć się o przyszłość.

ROZMOWA DRUGA.

Syn. Kochany ojcze, ja nie pojmuję jak mogą być tacy ludzie jak ten pan Jędrzéj?

Ojciec. Byłbyś śmieszny, mój synu, gdybyś wymagał aby wszyscy mieli o rzeczach twoje wyobrażenia, i twoje zdanie.

Syn. Ale przez samą ludzkość, przez miłość bliźniego, nie mogę znieść widoku podobnéj istoty; widoku człowieka bydlęcia.

Ojciec. Nazbyt się surowo wyrażasz. Lecz istotnie są ludzie, których myśl spiąca i odrętwiała, czucie zmrożone i martwe, czyni niezdolnymi do życia wyższego, duchowego; ludzie, nie mający żadnego związku, żadnéj sympatii z harmoniją, z tajemnicą natury; dla których najwspanialsze jéj obrazy i dzieła to tylko objawiają co oczy ich widzą. Myśl ich bez natchnienia, czucie bez uniesień, służy im w tym tylko sposobie w jakim instynkt i czułość służy zwierzętom. Są to oderwane ogniwa łańcucha stworzeń, nie znajdujące właściwego dla siebie miejsca; prawdziwi wygnańcy niebieskiéj ojczyzny, wydziedziczeni z najdroższych jéj skarbów, najświętszych znamion jéj pozbawieni. Żałować ich należy, mój synu.

Syn. Dziwię się, kochany ojcze, jak ten pan Jędrzéj mógł pozyskać twoją zażyłość. Śmieć tak gadać na *Byrona*, na *Manfreda!* Tak bezczelnie!

Ojciec. Dobrze żeś nie słyszał co tu bez ciebie mówił. Pan Jędrzéj jest człowiekiem rozsądnym, i

zkądinąd szanownym. Przyczyną fałszywych i śmiésznych jego wyobrażeń, mianowicie w poezii, jest nie tylko brak żywszego czucia i wyobraźni; lecz nadto całkowite prawie zaniedbanie umysłu. Nic nie czyta, nie ciekawy wiedzieć co świat pisze i myśli, to ma przekonanie: iż człowiek rozsądny, tém samém że rozsądny, już o wszystkiém zdrowo i prawdziwie może sądzić. Czytaj mu największych poetów: najognistsza ich fantazija, najwyższe uniesienia wydadzą mu się albo niczém, albo nawet śmiésznością. I to jest bardzo naturalnie. Kaléka którego oczy zakryte są kataraktą, i w najpiękniejszym obrazie natury znajduje tylko ciemność. Ludzie jak pan Jędrzéj, cierpią, że tak rzekę, kataraktę duszy: coż więc mogą zobaczyć w jéj świecie?

Syn. Dla czegoż się odważają sądzić, wyrokować? Mówić o największych poetach?

Ojciec. Wynika to z fałszywego a dosyć powszechnego wyobrażenia, jakoby poezija była dostępna dla wszystkich. Mów komu o astronomii, o medycynie: jeźli tych nauk nie posiada, nie zawstydzi się wyznać iż nic o nich stanowić nie może; lecz rozłóż przed kim dzieła *Danta*, *Miltona*, *Szylera:* będzie śmiało tych wielkich ludzi roztrząsał, chociażby ich twory po raz piérwszy oglądał. Nie wiedzą iż poezija

ma także swoje tajemnice i dociekania, niemniéj trudne (zwłaszcza dla ludzi pospolitych) jak rachuby astronomów, albo badania lekarzy. Wprawdzie poezija w skutkach swoich staje się niezmiernie popularna; ztąd owszem jéj tryumf i chwała iż zostać może najpewniejszą własnością, potęgą, i orędowniczką ludów: lecz można przyrównać ją do słońca: którego cudowne promienie utrzymują i mnożą wszędzie jasność, ciepło, i życie; ale którego ognisko wysoko utwierdzone, nie należy do ziemi.

Syn. O kochany ojcze! Czemuż słów twoich wszyscy nie słyszą? Czy mówiłeś to panu Jędrzejowi?

Ojciec. Mówiłem mu coś podobnego; i dla tego już może i mnie uważa za człowieka nie pełnego rozumu. Lecz jest jeszcze inny rodzaj krytyków i przyganiaczów. Znajdują się ludzie, których wyobrażenia są mniéj więcéj oświecone; a którzy, lubo przez jakiekolwiek czytanie i przyjmowanie myśli cudzych, wyszli ze stanu dzikości pana Jędrzeja, przecież równie jak on, z natury swojéj, nieźdolni są do pojęcia prawdziwéj poezii. Żywszy zapał uczuć, większe zagłębianie się myśli, jest dla nich rzeczą już nie obojętną ale fałszywą, nienaturalną, niedorzeczną nawet. Są to po większéj części istoty ograniczonéj głowy, i małego serca. Takich ludzi, poezija uczuć

namiętnych, gwałtownych, poezija najwyższa, nigdy nie zachwyci. To samo zastosować należy i do *filozofii*. Ludzie o których mówię, nie oderwą się nigdy od empiryzmu. W niewiarze swojéj i zaciętości są to naukowi Tomasze. Najczystsze, najwznioślejsze uniesienia mędrca, otwiérającego przed sobą świat duszy i bóstwa, talizmanem twórczéj, poetyckiéj, religijnéj myśli nazwą dziwactwem i marzeniem. Jakby błotne i liche ptastwo mianowało zmyśleniem podsłoneczne bujanie orła: dla tego że mu sprostać, że go nawet dojrzéć nie zdoła. W oczach gminu, gienijusz musi być dziwakiem; uniesienia wielkiéj, gorejącéj duszy, muszą dla małych ludzi wydać się marzeniem tylko; a głębia, w któréj filozof przy pochodni wiary i poezii poszukiwania swoje odbywa, będzie otchłanią ciemności dla tych, którzy na brzegu pozostali.

Syn. O czemuż te myśli, te wyobrażenia, którym dusza moja tak łatwo, tak głęboko wierzy, nie są dla wszystkich spólne? Czemuż u nas...

Ojciec. U nas, mój synu, widzę najpiękniejsze nadzieje. Młode pokolenie, przejęte szlachetnym zapałem i zacnemi uczuciami, w tém jest szczęśliwsze, iż używa swobody publicznego pokoju. Miała Polska znakomitych pisarzów; lecz nigdy nie używała po-

wszechnéj oświaty. Jeszcze więc duch naukowy nie mógł się u nas rozwinąć. Dziś on zaczyna szérzéj się budzić: a popęd wieku, większa znajomość języków, i zjawiające się świetne talenta, rokują mu pomyślny kierunek. Oby piękne ziarno wydało piękny i pożywny owoc! W was, młodzi, spoczywa przyszła nadzieja najzacniejszego bytu narodu: *bytu naukowego*. Wielkie przed wami pole; szlachetne wasze powołanie. Strzeżcie się nadużyciów; bo te na każdéj drodze znaleść się mogą. Własną głową myśląc, i własném sercem czując, nie dajcie się wyłącznie niańczyć pisarzom żadnego kraju; i niech miłość ojczyzny siły wasze rozwija, i chęci pokrzepia.

Syn. Lecz dziś, mój ojcze, z iluż jeszcze trudnościami walczyć potrzeba? Iluż mamy takich panów Jędrzejów! Iluż takich innych krytyków, o których wspominasz! Gdyby który z naszych poetów utworzył n. p. *Manfreda:* byłżeby zaraz godnie oceniony? Gdyby kto w filozofii wystąpił u nas na drodze teraźniejszych Niemców...

Ojciec. Czas będzie najlepszym pośrednikiem. W jego łonie dojrzéwa dla nas sztuka i prawda. Pocieszaj się tą myślą, kochany synu; i trwaj w dobrych chęciach i w pracy.

Jan Paweł Puławia Woronicz

Prymas Królestwa Polskiego

SLUBNY PRZYPOMINEK

(dla Anieli z W. Z. D.)

Anielo! król aniołów, Bóg i człowiek razem,
Niech cię w tajnikach serca uczy tym obrazem,
Ile Go kosztowało ród człowieczy zbawić,
Odziać go swojém bóstwem, obok siebie stawić.

Chceszli wiedzieć co prawda, rozum, szczęście, chwała?
Zkąd się powódź nędz ludzkich po ziemi rozlała?
Gdzie pośród łez i smutku płynie zdrój wesela?.
Wszystko to — u nóg twego pojmiesz Zbawiciela.

W jego szkole zrozumiész na czém wielkość stoi.
Świat ją w dumę, w bogactwa, i w roskosze stroi;
Ten mistrz uczy: że żadna znikomość przechodna
Ani ciebie ukoi, ani ciebie godna.

On ci wytknął wszelako i doczesne szranki,
W obowiązkach małżonki, matki, i ziemianki;
Abyś za trochę trosków w tym wędrownym stanie,
Zasłużyła z Nim wieczne dzierżyć panowanie.

Bez Niego w tym zawodzie nie postąpisz nogą,
On sam jeden jest światłem, prawdą, życiem, drogą.
Kto Go nie zna, po zgubnych przepaściach się miota,
Bez zarzewia rozumu, pociechy, żywota.

On jeden cię powiedzie przez labirynt kręty,
Wskaże zbójcze ustronia, zdrady, i ponęty;
Jak w prawości zachować i miarę i środek,
Na wywrocie prawideł szczepić cnót zarodek.

Jak z pożérczych płomieni wyniść bez obrazy;
Tonąć w świecie, i świata nie naciągnąć skazy;
Próżności się uśmiéchać, i od niéj odwykać;
Nogą poziom pomiatać, sercem niebios tykać.

Jako sieb'e nie przeżyć, mieniąc się nie mienić,
I krzepkości młodzieńskiéj świéżością zielenić;
Z wdzięki lat porannych zmierzchły wiek pogodzić;
Codzień z słońcem zapadać, codzień z zorzą wschodzić.

Masz być matką — i piérwszéj matki łez kosztować:
Więc nawykaj przygodom umysł twój hartować.
Niech cię uczy pod krzyżem matka Zbawcy, Boga:
Że dla Niego ofiara żadna nie jest droga.

On jest panem: więc wszystko dać i odjąć zdoła,
Jest ojcem: więc nań próżno dziecię nie zawoła.
Nie zna smutku, kto usnął w cieniu Jego woli,
Która dobro wyprzedza z każdéj człeka doli.

Wszystko więc co ci przyjdzie z możnéj Jego ręki,
Zapisz do cyrografu długów i podzięki.
Przyjdzie On po swą własność w nędzarza postaci,
Otoczony podobnych sobie gronem braci.

Bądź gdy ciebie o złomek chleba prosić będzie,
Bądź znękany uciskiem, na twym progu siędzie,
Bądź łzami się zapłoni przed twoim obliczem:
Poznaj Go wtedy dobrze; nie odprawiaj z niczem.

Jestto matka, co igra z sercem swéj dzieciny,
Targując się o udział słodkiéj odrobiny;
Jestto probierz twéj cnoty: czy za kroplę wody
Umiész u Pana kupić wiekuiste gody.

Niechaj w sercu utkwiony przestróg tych wspominek
Błyszczy w twym ślubnym wieńcu za mirt i barwinek,
Jeźli chcesz by się zawsze szczęściem twém zielenił;
Jam go na to w Chrystusie z wiecznością ożenił.

On jest piérwszym małżeńskich związków fundownikiem,
Ich trwałości niezmiennéj sprawcą, zakładnikiem.
Kto je targa: tajemnic znieważa zasłonę,
Gdzie On swe bóstwo pokrył z naszą krwią spojone.

Przenikniona świętością tak ważnego czynu,
Niedostępna przykładom obłędnego gminu,
Ucz się zgłębiać rad bożych tajemnicze szranki,
I wcześnie się przestrajać w dostojność niebianki.

Tą wiarą się ukrzepiaj! Ona świat przestoi,
I na wszelkie cię szturmy paiżą uzbroi.
Na jéj łonie przysięgę złożyłaś niezłomną:
Bóg ją zręczył, i w xięgę przyjął wiekopomną.

Więc cię pod skrzydła możnéj przytulił opieki,
Nie zachwieją jéj żadne i zmiany i wieki.
On sam będzie ci ojcem, matką, i rodziną,
Gdziekolwiek przeznaczenia łódkę twą powiną.

A kiedy od Karpatów z Zygmuntem wzniesiona,
Jak latorośl nadobna w nowy grunt wszczepiona,
Na wybrzeżach dnieprowych, w méj rodzinnéj ziemi,
Rozkwitniesz wnuczętami tobie podobnemi:

Potrząsaj z niemi kwieciem mogiły mych dziadów,
Groźne niegdy pogromem scytyjskich napadów;
Pociesz je — żem na gruzach dawnéj ich ojczyzny,
Polskie plemie zaszczepił, w schyłku méj siwizny.

Jan Paweł Woronicz.

PAMIĘCI

Jana Pawła Woronicza

PRYMASA KRÓLESTWA.

Gdy zagniewanie Pana na lud Jego padło,
Jeruzalem zhańbione w perzynach osiadło,
Wiatr rozwiał zacność jego! a idący drogą,
Klaskając nad niém, popioł pomiatując nogą,
» Onoż miasto, wołali, w sławie doskonałe!
» Takież wesele, taką odzierżyło chwałę!"

Odrzucił Pan swój ołtarz, przeklął swą świątnicę!
Młodzieńcy jarzmo brali, jęczały dziewice,
Starcy w prochu upadli: — duchem bożym zdjęty,
Na grobie swéj ojczyzny wołał prorok święty:

»Ojcy nasi zgrzeszyli, a nas za ich winy
»Nakryła hańba! Za nich w pęta idą syny!
»Pan rózgą gniewu swego zmiótł nam wieniec z głowy!
»Sierotyśmy, bez ojca; matki nasze, wdowy;
»Z szérokich grodów naszych wiatr tylko i dymy;
»Za własną wodę płacić przychodniom musimy;
»Cześć naszą jak nikczemną depczą niewolnicę!.
»Tyś chciał, Panie! obrałeś nas jako winnicę;
»Przecieżeś nie wyrzucił wiecznie z Twéj opieki.
»Niechaj języki wiernych chwalą Cię na wieki!
»Zechcesz: jeszcze nam wrogi będą się kłaniały;
»Z uniżenia podniesiesz znowu nas do chwały."

Tak gdy w dziedzinę Piastów grom uderzył zguby;
Gdy tylko w świetnym zgonie szukaliśmy chluby;
Gdy do obcych przechodząc od ojców puścizny,
Orzeł nasz był bez gniazda, a my bez ojczyzny;
Kiedy w gruzy runęła Jeruzalem nasza:
On! wieszcz i kapłan! podniósł płacz Jeremijasza.
Duchem pańskim natchniony, od stóp Zbawcy tronu,
Zgasłą cześć ojczystego śpiéwał nam Sijonu;
Cnoty zacnych naddziadów w duszach wnuków szczepił;
Rozbitkom stawił światło; do wytrwania krzepił;
Dzieci zbliżał do ojca; a niezłomny w wierze,
Przywodząc święte Pana z dziady ich przymierze,
Które Bóg zjścił dawném chwały ich okryciem:
Śmierć obecną, przeszłości wielkiéj wskrzeszał życiem.
Patryarchy powagą, a proroka głosem,
Skrytą przyszłość oświécał nowym, świetnym losem;

Z ufnością błagał Pana: by kościom z mogiły
Powstać kazał, i dawne tchnął w nie życie, siły! *
Wierzył mu naród; niebu dzięki na przód składał;
Natchnionym słowom wieszcza, duszą odpowiadał.
Miłością synów swoich zawsze Polska żyła;
Choć nie była na karcie.. w sercach naszych była.

Jego głos — nasz upadek i niewolę słodził;
Zmartwystaniu ojczyzny — jego głos przewodził.
Ledwo nowych nadziei zorze nam zabłysło:
Gdy ojczysty proporzec zaszumiał nad Wisłą —
Orły naszę, łaknące karmi dawnéj chwały:
Z jego rąk — przed zwycięzcy wozem poleciały. **
By z grobu zbudzić matkę, wskrzesić imie swoje,
Biegły świetne szeregi na mordercze boje,
Biegły... Ktoż czarną przyszłość w błogiéj widział chwili!.
Cóż nam rycerze nasi krwią swoją zdobyli?
Ranami i zaszczytem ozdobieni sławy,
Cóż przynieśli do domów z swéj wędrówki krwawéj?.
Rozproszone nadzieje — w duszach żal głęboki —
Marny oklask narodów — martwe wodza zwłoki!.
Próżno się siłą własną syn prochu wielmoży:
Upadnie — przeciw komu zwrócon palec boży.

Lecz chował lepszym losom Bóg swego kapłana.
Stanął pośród nas wskrześca, pomazaniec Pana.
Miłość swoją ślubując nam Tytusa słowy,
Z świętą praw xięgą zasiadł tron Jagiellonowy.

* Ob. Woronicza *hymn do Boga*.

** Znane kazanie Woronicza przy poświęceniu orłów polskich.

Dożył Woronicz święta: gdy na tymże tronie
Godny Następca w Polskiéj zajaśniał koronie.
On, w świątyni Zygmuntów, w obliczu rodaków,
Ze łzami ją w opiekę dał Boga Polaków!
Ileż życzeń, nadziei do niéj przywiązywał!.
Jakże się w ogniu szczęścia duch jego rozpływał!..
Tak, gdy do całopalnéj ofiary gotowy,
Ujrzał miecz odwrócony od dziecięcia głowy,
Tracąc syna: — gdy syna znow miał z Pana ręki:
Abraham z głębi duszy takie wznosił dzięki;
A uczciwszy obecność Jehowy w aniele,
Takiemi łzami płakał, takie czuł wesele!

Już stawał kapłan ludu w schyłku swéj siwizny!
Starcowi znękanemu burzami ojczyzny,
Jeszcze jeden zagrażał cios — już nie daleki:
Nie na rodzinnéj ziemi miał zamknąć powieki!
Pożegnał nas w stolicy sąsiedniego państwa,
Które Polak ochronił od jarzma pogaństwa.

Przetrwał najpamiętniejsze narodu koleje;
Widział zgon jego, przeżył zawodne nadzieje,
Najcięższe jego klęski i ofiary liczył,
Witał go gdy swe imie znowu odziedziczył.
Tak w wiekuistą puszczę gdy burze uderzą:
Huczą łoskotne gromy, wichry gwałty szerzą,
Lecą złomy, zniszczenie przechodzi w około..
Dąb trwa. Sam na zwaliskach pyszne wznosi czoło;
I nie wprzód grunt zalegnie w stóletniéj jesieni,
Aż nowém puszcza życiem znow się rozzieleni.

Stefan Witwicki.

CZAJKI.

Śpiew Zaporożców, w powrocie z wyprawy morskiéj Konaszewicza.

OBJAŚNIENIE.

Piotr Konaszewicz, trzynasty po Daszkiewiczu hetman zajdaczny obojéj Ukrainy i Kosza zaporożskiego, czyli Koszowy, był istotnie, niewyłączając nawet Bogdana Chmielnickiego, najsławniejszym wodzem polskich kozaków. Dla wielu szacownych przymiotów, a mianowicie dla nieukróconego w boju męstwa i czujnéj przezorności, prosty kozak dostąpił najwyższego dostojeństwa: po śmierci bowiem walecznego Romana xięcia Różyńskiego, od całéj Ukrainy

obwołany wodzem, otrzymał zaraz z rąk Zygmunta III. mniejszą hetmańską buławę. Od téj chwili dowodził w setnych wyprawach przeciw Tatarom i Turkom; najechał po dwakroć Krym i zburzył Kaffę. Na wojnie moskiewskiéj był postrachem nieprzyjaciela; a pod Chocimem wspiérał Chodkiewicza znacznemi posiłkami Kozaków. Najcudowniejszych atoli wyprawy dokonywał na morzu Czarném. Na wątłych łodziach zwanych *czajki*, zapędzał się aż pod Carogrod, Trebizondę, Synopę; palił pokilkakrotnie te ostatnie miasta, i spustoszył nieraz całe wybrzeża Turcyi azyatyckiéj. Powrót z jednéj takowéj wycieczki, posłużył za przedmiot do niniejszego śpiewu.

Uczony nasz Starowolski, w opisie żywota Konaszewicza, przyznając mu wszystkie wysokie zalety, a nawet *rzadką trzeźwość*, niewiem skąd wyczerpał wiadomość, że wódz ten w rok po wyprawie chocimskiéj, umarł z rozpusty. Konaszewicz żył kilka lat dłużéj; kroniki kijowskie naznaczają mu koniec zupełnie inny, zgodniejszy z duchem owego wieku, tudzież z mistycznym i surowym charakterem tego wojownika. Na schyłku sławnego życia, po wieloletnich mordach i pożogach, zapragnął Konaszewicz umrzeć w pokorze i skrusze. Jakoż dobrowolnie złożył hetmańską władzę, majątek rozrządził już to na

rzecz kościołów, już na założenie akademii w Kijowie, i przebywał aż do śmierci w klasztorze pieczarskim. Są wszelako ślady w historyi, że i ztamtąd występował na bój z Tatarami.

Ura ho! ura ho! ura!
Limany! nasze limany!
W ogniach goreją kurhany,
I Czartomelik, i Dura!
Okrzyk bracia! a wesoło,
Aż rozgłośnie naokoło
Od Chortycy, do Tawani,
Zagrzmią progi i ostrowy!
Niech nam żyje, niech hetmani,
Konaszewicz nasz Koszowy!

Toż się to z chmury na wody
Pełnia odbija miesiącą?
Nie, — to Synopa płonąca,
Natolskie dymią to grody!
Przy wojennéj téj pochodni,
Kiedy lekko wiatr zachodni
Pędzi z dymem i popiołem
Czajki nasze w kraj niżowy;
Bracia! raźny okrzyk społem,
Niech nam żyje nasz Koszowy!

Cieszmy się, pokąd widzimy
Z dymu chmur łunę tam jasną,
Lecz choć i łuny pogasną,
Chocia rozwieją się dymy:

Jak wyprawa w Krym Bohdanka, *
Gracka nasza pohulanka
Zabrzmi pieśnią w Ukrainie;
I dopokąd bratniéj mowy,
W całéj Polsce nam zasłynie
Konaszewicz nász Koszowy.

Piękny bo wieziem podarek
Dla braci naszéj na Niżu;
Działa błyszczące ze spiżu,
Krocie złocistych janczarek;
Zbroje, szable i kinżały,
Będą ludzki wzrok olśniały,
Promieniące od kamieni,—
A gdy błysną w dzień godowy,
Hukniem razem w sto kurzeni **
Niech nam żyje nasz Koszowy!

Poślem na ładan *** i świéce,
Do świętéj Ławry pieczarskiéj ****
Łupy ziemicy agarskiéj,
Złote z meczetów xiężyce:

* Bohdan xiąże Różyński, szósty hetman Ukrainy.

** Kurzeniami zwały się u kozaków obozowiska, na kilkaset aż do tysiąca ludzi, t. j. pułkowe.

*** Myrra po słowiańsku i po rusku zowie się ładan; zapewne od *Ładо* dawnego bożyszcza.

**** Święta Ławra, cerkiew metropolitalna w Kijowie, przy któréj są sławne pieczary, przechowujące dotąd, ciało świętych męczenników i wyznawców kościoła greckiego.

Niech poległéj braci w boju,
Pieśń wiecznego brzmi pokoju!
A śród wypraw, naszéj młodzi,
W łasce Boga, żyw i zdrowy,
Niech w najdłuższy czas przewodzi
Konaszewicz nasz Koszowy!

Pod Ostrowami na przodzie,
Widzicie czajkę hetmana,
Jak chorągwiami owiana,
Lekko się ślizga po wodzie?
Toż od naszych dum ucieka,
Że samotny, że zdaleka,
Wódz, nasz ojciec szuka ciszy?
Bracia! raźno okrzyk nowy!
Aż nogajska dzicz usłyszy,
Niech nam żyje nasz Koszowy!

Lecz hetman w myślach jak niemy,
I wciąż na niebie źrenica,
I wciąż na sercu prawica,
Niewie skąd, dokąd płyniemy.
Jakiś zamach knowa w głowie...
Noweż boje nam zapowie?
Ura bracia! niechaj skinie,
Wnet ochoczo w taniec * nowy,
Z czajek na koń! — i w pustynie...
Śród okrzyków; żyj Koszowy!

* Czytelnicy kronik polskich, znają stare znaczenie wyrazu taniec: taniec tatarski, taniec kozacki; -- i stąd *bon mot* sławnego Chodkiewicza, do synów odjeżdżających za granicę.

Ura ho! ojcze hetmanie!
Oto na Siczy drużyna,
Z podarkiem chleba i wina,
Szerzy okolne wołanie!
I my okrzyk! a radośny,
Aż jak gromu huk rozgłośny,
Od Chortycy, do Tawani,
Wstrzęsie progi i ostrowy!...
Niech nam żyje! niech hetmani!
Konaszewicz nasz Koszowy!

JÓZEF BOGDAN ZALESKI.

HUGO.

Powieść Krzyżacka.

I.

UCIECZKA.

Młoda dziewica dziś w klasztornym murze
Bogu na całe poświęcona życie,
Gdy odrzucała świéże wianku róże,
Łzy z pięknych oczów płynęły obficie:
Gdy pod całunem legła na marmurze,
Ustało prawie drżące serca bicie:
Łzy już nie płyną, lecz bladość straszliwa,
Jak w chwilę śmierci jéj lica okrywa. *

* Wszystkie w téj strofie wzmiankowane obrządki, zachowują się przy obłóczynach mniszek wstępujących do klasztoru.

Już po nieszporach, już wieczorne chłody,
Wróciły niebu barwy lazurowe,
Przed krzyżowemi kryjąc się narody,
Słońce skwarami utrudzoną głowę
Chowało w morza baltyckiego wody;
Lecz nim się skryło w fale bursztynowe,
Zajrzało w gmachu zasępione skrzydła,
Przez szyb kościelnych ciemne malowidła.

Wszystek lud wyszedł ze świętych podwoi,
Skończone Boskich tajemnic ofiary.
Czemuż ten rycerz nieruchomy stoi,
O marmurowe oparty filary?
Twarzy niewidać — ale znać ze zbroi
Że to obrońca chrześciańskiéj wiary.
Lecz w noc tak późną czegoż jeszcze czeka?
Wszyscy odeszli, on odejście zwleka.

Stał nieruchomy jako posąg z głazu,
Cichy stróż grobów zimnego marmuru.
To coś błysnęło? — Nie to blask obrazu
Co tak pozłotą zabłysnął od muru;
Jakiś szmer słychać? — to odgłos wyrazu;
Cichéj modlitwy przyniesiony z chóru,
A rycerz zadrżał? — to może ze strachu
W tak późną porę, w tak posępnym gmachu.

Już xiężyc wstąpił na niebieskie smugi
I patrzał w ciche klasztorne ustronie,
Wychodzi rycerz, z rycerzem ktoś drugi,
Oba skoczyli z pośpiechem na konie,

Pewno miał giermka — pazia — do posługi,
Lecz czemuż pędzę tak spiesznie przez błonie?
Czemuż tak prędko z bitéj zeszli drogi
Biorąc się w lasy i dzikie odłogi?

Z początku żadnéj nie wiedli rozmowy:
Starszy, ostrogą zachęcał rumaka,
A potém nagle, gniew gorzkiemi słowy,
Wyrwał się z piersi gorącéj krzyżaka.
»Z radośném sercem jam rzucić gotowy
Pruskie krainy, — chciałbym lotem ptaka
Z miejsc tych ulecić, kędy mojéj głowie,
Grożą tajemnych wyroków sędziowie.

»Lubię zakonu turnieje, gonitwy,
Ale nie znoszę szpiegów tajnéj sprawy,
Od nich uciekam w kraje dzikiéj Litwy,
Lasy mi milsze nad ciągłe obawy,
Jagieło z bratem tocząc krwawe bitwy,
Wezwał nas w swoje odległe dzierżawy,
Już zamek Trocki do niego należy,
I tam krzyżackich osadził rycerzy.

»Tam ja nad braćmi moimi przewodzę
Śledzę Litwinów, — i spraszam biesiady;
Tam ufny w silnéj i licznéj załodze,
W obronnym zamku nie lękam się zdrady.
A sąd co trzymał mych czynności wodze;
Puścić je musiał, i stracił ich ślady.
W Litwie podstępem zdradnym nie otoczy,
W Litwie nie dójrzy — choć ma bystre oczy.

»Patrz już krzyżackie zniknęły klasztory,
I błyszczy Niemen széroki przed nami"
Zaraz się w rzékę rzucił rumak skory;
Parskał — i pianę mieszał z wód pianami.
Na drugim brzegu czerniły się bory,
Srebrnémi nocy uwieńczone mgłami,
Xiężyc zniżony płonąc na zachodzie
Długim się słupem srebrzył w Niemna wodzie.

Nim je grom spali — nim je ludzie wytną,
Piękne te bory — cudny las sosnowy;
Tysiączne kwiaty w jego głębiach kwitną,
Wiatr tajemnicze prowadzi rozmowy,
Tam dzwonki barwą błyszczą się błękitną,
Owdzie kobierce ściele wrzos różowy;
Przez takie bory zarośnięte wrzosem
Prędkim tętniły kopyta odgłosem.

Dalléj w pośpiechu mijają rycerze,
Rozległe xiążąt na Lidzie dziedziny,
Z wschodzącém słońcem witały się wieże,
Choć cień pod zamkiem zalegał doliny,
Ze słońcem jeźdców migały puklerze,
Słońcu nadbrzeżne skłaniały się trzciny,
Nie jeden pączek przed słońcem rozkwita,
Błyszczy się ziemia kwiatami okryta.

Lecz prędko szybkie przemknęły rumaki,
Znikł obraz Lidy jak senne marzenie,
Znów ciemne bory, zarośla i krzaki,
I jednostajne rumaków tętnienie.

Słońce przebiegłszy lazurowe szlaki,
Już za ponary chowało promienie,
Już cień na ziemię spuszczał się ponury,
Gdy starszy krzyżak wskazał zamku mury.

»Patrz! oto wielka Kiejstutów stolica,
To ich dzierżawy kędy zajrzysz okiem.
Nad zamkiem wieża — tam pogan kaplica,
Tam między gęstym kadzideł obłokiem,
Boga piorunu szczerozłote lica,
Patrzą się, jasnym brylantowym wzrokiem.
Widzisz te cudne błękitu przestworze,
To Trocki zamek — a to Trockie morze.

II.

RYCERZ SĄDÓW TAJEMNYCH.

Stokroć weselsze są Malborga gmachy
Jak te posępne Kiejstuta komnaty;
Ani je srebrne rozjaśniają blachy,
Ani kobierców stroją jasne szaty:
Sala zamkowa jak głuche więzienie,
Wiatr po niéj szumi i wolno przewiewa,
Jéj głębie wieczne zalegają cienie,
A setne z ziemi wznosząc się filary,
To się zrastają jak altany drzewa,
To się znów dzieląc na setne konary
Wspierają różnie łamane sklepienie.

A okna cięte w gwiazd rozlicznych wzory,
W dzień dają światło słabe jak o świcie:
Inne okrągłe lśnią w tęczy kolory,
Dziś okna — jutro strzelnice w potrzebie,
A jedno w sklepień zasępionych szczycie
Tak błyszczy zdala, jak miesiąc na niebie.

Choć noc głęboka, — choć w tak późnéj chwili,
Jeszcze się lampa w ciemnym gmachu pali,
I dwaj krzyżacy czuwają na sali,
Dwaj którzy wczoraj jeszcze z Prus przybyli,
Starszy miał pancerz, i szyszak stalowy,
I płaszcz szeroki z wizerunkiem krzyża,
A ile razy do światła się zbliża
Na piersiach miga krzyż dyamentowy,
I miecz u boku obosieczny, długi.
Znam go, to komtur zakonu krzyżaków,
To młody Hugo — lecz kto jest ten drugi?
Ile z widocznych poznać mogłem znaków;
Nie miał on jeszcze ostrogi rycerza,
Ani swéj piersi krył ciężką kolczugą,
Ubiór miał pazia: — lecz pan mu się zwierza?
Pan z nim rozmawia nie tak jak ze sługą?
Słowa Hugona skryte, tajemnicze,
Często na pazia spogląda oblicze.
Bo też oblicze tak piękne, czarowne,
Spojrzenie pazia tak czułe, dobitne,
I oczy jasne, jak niebo błękitne,
Ćmią długie rzęsy gdy nadto wymowne.
Włos jego spływa w złociste pierścienie;
Ale na twarzy smutek, zamyślenie.

Jakiż to rycerz w tę porę przybywa,
Czarną miał ściśle zamkniętą przyłbicę,
I czarny pancerz i naramiennicę,
Olbrzymią postać żelazo okrywa.
Schylił się wchodząc pod wielkie filary,
Stanął w milczeniu — i załamał dłonie.
— » Czegoś tu przyszedł" rzekł Hugo ponuro?
» Czyś jest brat, rycerz chrześciańskiéj wiary?
» Co mi przynosisz?"— » Twoją śmierć Hugonie.'
Czoło Komtura okryło się chmurą;
I rzekł do siebie, wybadać go muszę.
— » Twa mowa bracie śmiercią mi zagraża?
» Czyliś gdzie widział Bodelszwingu gruszę?
» Czyli z Sandkirchen powracasz cmentarza?" *
Na to nazwisko rycerz spuścił dłonie,
I milcząc dwakroć tylko głowę skłonił.....
Pielęgnowany troskliwie w wazonie
W oknach zamkowych kwiat róży się płonił,
Zerwał go Hugo i rycerza bada;
A rycerz milczy, milcząc wziął kwiat róży,
Do piersi niesie i do ust przykłada... **
Czoło Hugona posępniéj się chmurzy,

* Przywiedzione tu zapytania i odpowiedzi nie są bynajmniéj dowolnie wymyślone, służyły one za sposób łatwy poznawania się między sobą dla członków tajnego trybunału. Grusza Bodelszwinga, cmentarz Sandkirchen, a mianowicie wolne hrabstwo Dormundt, były zwyczajnemi miejscami w których tajni sędziowie miewali swoje główne posiedzenia.

** Róża była znakiem symbolicznym trybunału, ztąd na mieczu i toporze członków znajdował się wyryty rycerz w jednym ręku mający bukiet różowy, a w drugim obnażony sztylet.

Zgasły na licu rumieńca szkarłaty;
Ale dowodów jeszcze nowych szuka.
— » Powiedz rycerzu czyliś jest bogaty?.
» Gdzie twoi bracia? gdzie twoja rodzina?.."
— » Bogactwem mojém jedna złota sztuka,
» Bogactwem mojém są trzy miary wina, *
» A brat mój, tutaj na mieczu wyryty,
» W jednem ma ręku, wieniec z róż uwity,
» A w drugiém sztylet co w krwi zbrodniów tonie;
» Tacy rycerze są braćmi mojémi,
» Taka rodzina jest w Czerwonéj ziemi, **
» Czy dosyć na tém? czy znasz mię Hugonie?

» Znasz mię, i dom mój, i moją rodzinę,
» Słuchaj więc, krótkie są wyroku słowa,
» Zbrodnia spełniona, i kara gotowa,
» Znasz swoją zbrodnię— umrzesz za godzinę...
» A ty! co pazia pożyczasz ubioru,
» Ażeby kazić ludzi świętéj wiary,
» Tam zkąd przybyłeś, wrócisz do klasztoru,
» Tam cię czekają, wstyd, hańba, i kary."

Wyszedł — a Hugo jak ze snu się zbudził.
» Czy słyszysz luba odgłos jego kroków,
Słyszysz! to poseł straszliwych wyroków,
On mi śmierć przyniosł, gdym się szczęściem łudził,

* Jednę złotą sztukę i trzy miary wina obowiązany był składać każdy rycerz przy pierwszém wstąpieniu do bractwa tajemnych sędziów.

** Tak nazywała się dawna Westfalia, główne ognisko tajnych trybunałów, od czerwonego pola swoich herbów.

O łatwiéj! łatwiéj! było skonać wczora,
Dziś szczęśliwszemu trudniéj mi umierać;
Patrz! xiężyc zaczął przez szyby przeziérać,
Słyszysz! jak szumią tam fale jeziora,
Xiężyc mię żegna, żegnają mnie fale....
A sen mój jaki będzie za godzinę?...
Lecz próżno! próżno! ja marnie nie zginę,
Życiem mém rządzić nie będą zuchwale,
Czekaj tu Blanko, — zostawiam w téj sali,
Ten płaszcz, on w boju płątał by mi dłonie;
Ten hełm z piórami z nadto kruchéj stali,
I miecz ten nadto lekki na ich głowy,
Weź moja luba ten krzyż brylantowy,
On całe życie błyszczał na mém łonie,
Może ci kiedy przypomni po zgonie?
» Nie ja żyć będę, chcę żyć moja luba,
Wszak jam w krzyżaków zhodował się domie,
I nieraz sławy szukałem za domem,
Mam miecz co zdziwia Polaków ogromem,
Mam zbroję któréj stal tak twarda, gruba,
Że ją żelazo żadne nie przełomie,
Mam serce które hardo w łonie bije
Pójdę więc zbroją me piersi okryję.
» Jest jeszcze inna ocalenia droga
Może w świątyni pogańskiego Boga,
Można się ukryć w jéj lochach podziemnych,
W jéj krętych zwrotach, w jéj kryjówkach
ciemnych,
Ta droga bardziéj pewna i ostrożna;
Wszak zdradą zdrady uchronić się można..."

To rzekł i wyszedł, straszną zbroję wkłada,
W której już nieraz występował w szranki.
Potém zbiegł szybko przez zakryte ganki,
Do świątyń Boga który gromem włada.
Ogień ołtarzów smutny i ponury,
Roztrącał słabo czarne gmachu cienie,
Szedł Hugon, ciemne przeglądając mury,
Może w tych murach tajemne schronienie
Zbiegów bezpiecznie do świtu zatrzyma?
Lecz przebóg! zadrżał — kamienne bożyszcza,
Stojąc w około święconego zgliszcza,
Żywemi w niego patrzały oczyma. *

III.

ZGON.

Nadeszła straszna godzina wyroku,
Znów wszedł do sali mściciel tajnych zbrodni,
Wszedł pod filary i zatrzymał kroku.
Przy świetle blado tlejącéj pochodni,
Na dłoni rycerz oparty spoczywa,
Ofiara śmierci — znany płaszcz komtura
Z posępnym krzyżem po barkach mu spływa,
Na hełmie znane kołyszą się pióra,

* Tajemne trybunały tak były liczne i możne; że potępiony ich wyrokiem gdzie się tylko obrócił, wszędzie widział zwrócone na siebie szpiegów oczy, lub sztylety. Ucieczka była niepodobną.

I dobrze znany krzyż na piersiach miga,
I dobrze znany miecz u jego boku.
Lecz czyliż męstwo tak prędko ostyga?..
Hugo! tak mężny, śmiały przed godziną,
A teraz śmierci lęka się widoku?
Dla czegoż kryje lica w obie dłonie?
Czy łzy zasłania co w tę chwilę płyną?.
Cichość ponura — » Czyś gotów Hugonie?..
Biada ci! milczysz?. — » Błysnął zamach stali.
Krzyżak się długo nad trupem nie bawił,
Sztylet mu w piersiach rozdartych zostawił;
Spojrzał — i zwolna wyszedł z krwawéj sali.

Lecz przebóg drzwi się otwarły zarazem,
Wszedł młody rycerz — To on! Hugo młody,
Cały hartownem odziany żelazem,
Męztwem młodzieńcze płonęły jagody.
Wszedł, spojrzał bystro — »Blanko! Blanko droga!
Poco ten ubior? te pióra? ta zbroja?..
Czemu tak milczysz? — ach na miłość Boga!
Odpowiédz słowo — droga! — luba moja!
Odpowiédz słowo! — Przebóg, twarz jak sina,
Jéj dłoń — jak zimna! — Jak szklisty blask oka
I sztylet w piersiach!... Więc biła godzina?
On był tu!" — Zamilkł — tak boleść głęboka
I żal tak ciężki, jego serce ścisnął,
Piersi pracują jak wzburzone fale,
Na chwilę w oczach płomień zemsty błysnął,
Lecz go zgasiły nowe łzy i żale.

» Pewnie myślała Blanka nieszczęśliwa,
Że mię swym zgonem od zgonu zachowa:
Nie! kiedy szczęścia zerwane ogniwa,
Ja mam żyć?... Luba — bądź zdrowa! bądź zdrowa!....

Xiężyc nad rankiem srebrzył zamku wieże,
Niech on nam powié dalszy los Hugona.
Zbojeccy sądów zniknęli rycerze.
A strasznym losem pana przerażona
Cała się służba rozbiegła z wieczora.
Hugo już nigdy nie postał w zakonie,
Gdzie się więc podział? Niech powiedzą tonie...
Niech mówią nimfy Trockiego jeziora,
Płakały po nim — a gdy z nocy końcem,
Słońce swą jasną ukazało głowę,
Długo w dzień jeszcze, ich łzy brylantowe,
Na srebrnych liljach śkluiły się przed słońcem.

WESELE HAJKONY

Ballada Serbska.

O! nigdy jeszcze jak świat stworzony,
Nigdy piękniejsza nie kwitła róża:
Jak młode dziwcze z Newsiniu wzgórza
Co miało imie pięknéj Hajkony:
Bo też tak była piękną, uroczą,
Że nic milszego ludzie nie zoczą!

Jak gdyby jodła kibić jéj wzniosła
Po mlecznych licach róża rozlana,
Róża tak świéża jakby od rana
Do dnia połowy na łączce rosła.
Skrzydłem jaskółki brwi się zdawały,
Jak dijamenty oczy błyszczały!

Włosy jak jedwab, jasnością płoną,
Usta jéj słodkie jak z cukru lane:
Zęby jak perły w szmurek zebrane,
Jak dwa gołąbki śniéżne jéj łono.
Gołąb tak grucha gdy się ozwała,
Słońce tak błyszczy gdy się zaśmiała.

Wielu o rękę zabiegi czyni,
Lecz dwóch w zalotach wszystkich przemaga:
Jeden jest stary Mustafa - Aga,
Drugi jest młody Sonko Dudbini:
Obadwa razem w jednéjże chwili
O rękę pięknéj prosić przybyli!

Tysiąc sztuk złota starzec zalicza
I jeszcze puhar daje złocony,
A na puharze wąż okręcony
Okiem z brylantu blasku użycza:
A blask brylantu takiéj jest mocy
Że przy nim można ucztę jeść w nocy.

Dziesięć sztuk złota Sonko zaliczył,
Nie mógł dać więcéj dla przyszłéj żony
Bo tylko szabla i konik wrony
To było wszystko co odziedziczył.
Lecz nad granicą umiał żyć przecie
Jak rączy sokoł w powietrznym świecie!

Więc brat się ozwał i tak powiada:
»Patrzaj Hajkono dziś się zastanów
Wielu twéj ręki pragnie młodzianów,
Lecz moje serce dwóch tych przekłada,
Którzy dziś razem, w jednéjże chwili
Ciebie w małżeństwo prosić przybyli!

»Piérwszy jest Aga, starzec bogaty:
Jak rządca twierdzy, w całéj krainie
Z potęgi, z bogactw ogromnych słynie,
On cię odzieje w jedwabne szaty,
Za srébrnym stołem z tobą zasiędzie
Cukrem i miodem napawać będzie!

»Drugi się zowie Sonko Dudbini:
Lecz skarb od ojców mu zostawiony
Jest tylko szabla i konik wrony:
Więc niech twe serce wybór uczyni.
Powiédz o siostro! luba Hajkono,
Powiédz, którego chcesz zostać żoną?"

Na to Hajkona tak się ozwała:
»Tyś jest zupełnie wolnym w wyborze,
Kogo przeznaczysz przyjmę w pokorze:
Lecz gdybym sama wybierać miała
Wolę młodzieńca chociaż ubogi,
Niż starca złotem błyszczące progi.

» Bo srébro, złoto, kosztowne szaty,
Ze są bogactwem, myśl to jest płocha:
Kto to posiada co szczerze kocha
Ten jest szczęśliwy, ten jest bogaty!"
Lecz brat słów siostry nie miał w uwadze
Dał ją starcowi, Mustafie - Adze!

Mimo jéj woli dał ją starcowi,
I powracając do swojéj chaty,
Z całych okolic pospraszał swaty
By narzeczoną wiedli mężowi.
I prosił Sonka jak przyjaciela
By niósł chorągiew przodem wesela!

A więc się zbiegły swaty sproszone,
W weselnych szatach goście przybyli,
Przez trzy dni całe, jedli i pili
Czwartego z rana wiedli Hajkonę!
Lecz gdy się w drodze rzesza wstrzymała
Dziewica z cicha swata pytała:

» Powiédz, ach powiédz mój ty pierścieniu
Czyją ja dzisiaj mam zostać żoną?"
A on rzekł z cicha: » patrzaj Hajkono,
Tam niosą starca w złotém siedzeniu
Jak Effendego z siwiałą brodą:
To Mustaf - Aga! — jemu cię wiodą!"

Dziewica patrzy wzrokiem zmienionym
Ciężkie westchnienie z piersi wydała
I towarzysza znowu pytała:
„Cóż to za rycerz na koniu wronym
Co na wzór gościa i przyjaciela
Niesie chorągiew przodem wesela?"

A jéj towarzysz znowu się wstrzymał
I rzekł: „To Sonko bogaty w wdzięki,
Ten co się twojéj domagał ręki,
Co się domagał, lecz nie otrzymał!"
Lecz gdy te słowa słyszy Hajkona
Na czarną ziemię pada omdlona!

I wnet przybiegła rzesza trwożliwa,
Aga ostatni przybiegł i woła:
Lecz nikt Hajkony podnieść nie zdoła,
Aż wreście młody Sonko przybywa
Zatknął chorągiew i bliżéj staje
I prawą rękę lubéj podaje!

Aż ona sama zrywa się z ziemi
Z Sonkiem dopada wronego konia,
A młodzian zwraca w lewo na błonia,
A rumak pędzi kroki rączemi;
Pędzi, jak gwiazda w przestworach świata
Kiedy pogodny błękit przelata!

A gdy to widzi Mustafa - Aga
Z gniewem zawoła drąc świetne szaty:
» Widzicie goście! widzicie swaty
Jaka w tym młodym zbójcy odwaga?
Wy to widzicie jak wziął mi żonę
Żadenże niechce biedz na obronę?"

Lecz goście rzekli: » Nie mamy konu:
Niech jastrząb chwyta ptaszka małego,
Niechaj go chwyta bo jest dla niego:
Ty Mustaf-Ago wracaj do domu,
Bo nie dla ciebie tu się rozwiła
Jak krasna róża dziewica miła!

KONSTANTY GAŁCZYŃSKI.

CÓRKA ULINA.

z Campbella.

Ronald do rybaka Szkota:
» Spiesz się, woła, z łodzią skoro,
Dam ci srebra, dam ci złota,
Tylko przewieź przez jezioro."

» Przez jezioro Lochgil chcecie?
Ja w téj burzy miałbym płynąć!.
Ktoście tacy, niech wiem przecie,
Co tak radzi marnie zginąć!"

» Zgubą dla nas jest zwlekanie,
A w miłości cała wina;
Jestem Panem na Ulwanie,
Ona córką jest Ulina.

Ulin tuż za nami pędzi, —
Łodzi, łodzi! dobry człowiecze,
Jeźli łodź nas nie oszczędzi,
Pogoń jego nas rozsiecze."

Już pogoni słychać głosy,
I już słychać tentent koni,
W ręku rybaka ich losy,
Maż ich ratować w złéj toni?

„Płyńmyż tedy, rzekł z ochotą,
Cobym nie śmiał w nawałnicy
Za twe srébro, za twe złoto,
Śmiem dla wdzięków twéj dziewicy."

To gdy wyrzekł; alić z toni
Duch jeziora zaskowyczał;
Większa fala większą goni,
Stokroć silniéj szturm zaryczał.

Coraz groźniéj burza rosła,
Mgła mroczliwa się wzmagała;
Ledwo rybak jął się wiosła,
Pogoń tuż ich dopadała.

„Daléj, daléj na te fale!"
Zbladła krzyknęła dziewica,
„Nie dbam na gniew nieba wcale
Więcéj boję się rodzica!"

Wnet od brzegu łódź odbiła,
Z tyłu został ląd groźliwy;
Lecz groźniejszą topiel była
I jeziora duch zdradliwy. *

To ich do dna nurzy w fali,
To ich znowu na wiérzch miecie,
Ulin widząc to się żali,
Poznał z brzegu swoje dziécię.

Poznał córkę ulubioną:
Ona przy kochanku stała
Z głową kniemu pochyloną:
Czułość w ojcu się ozwała.

» Wróć się, córko, skarbie luby,
Wołał, — wróćcie się oboje,
Przebaczam wam wasze śluby,
Wróćcie tylko, dzieci moje!"

Lecz już nie wrócili oni,
Nikt ratunku dać nie zdołał;
Fale połknęły ich w toni,
Ojciec darmo z brzegu wołał.

K. L. S.

* Podług przesądów gminnych dawnych Szkotów, gaje, góry, doliny, jaskinie i jeziora miały duchów swoich, które nosiły różne nazwiska. *Kelpies*, *Brownies*.

BĘDĘ SIĘ MODLIĆ ZA CIEBIE.

I.

Pamiętasz, ową roskoszy godzinę,
Gdy pod twą dłonią dźwięczne strony tchnęły,
I wznosząc duszę w nadziemną krainę
Harmonii zdroje z twoich ust płynęły;
Boskiém pieniem upojony,
Wzlatując za drżeniem strony,
Gdym w marzeniach gubił siebie,
Schwyciłem głos ów, słodszy niż twe pienia,
Niż władcy duszy o szczęściu marzenia.
»Będę się modlić za ciebie!"

II.

Odtąd myśl moja — czy w przeszłości tonie,
Skrzydłem nadziei, czy w przyszłość ulata,
Pośród snów czarnych, i na uciech łonie,
W samotnéj ciszy, i śród zgiełku świata,
Czy zorze, uśmiéchem wita
Pączek maju, co rozkwita,
Czy żałobny kir na niebie,
I wiatrów oddech szron zimy kołysze;
Jeden głos tylko, jeden tylko słyszę:
»Będę się modlić za ciebie!"

III.

Po zwierciadlanych srébrnych wód równinie,
Co błękit nieba, nowym wdziękiem stroi,
Jeźli me cżółno spokojnie popłynie,
Twój uśmiéch, szczęście i roskosz podwoi,
A gdy się zapienią wały,
I o twarde czołno skały
Strzaskane, w fałach zagrzebie,
Ostatnia deszczka zatopionéj łodzi,
Myśl jedna, troski rozbicia osłodzi:
Ona się modli za ciebie!

IV.

Ona się modli — czyściejsze jéj tchnienie,
Niż łza poranku co fijołek rosi,
Niż konające dźwięcznéj lutni brzmienie,
Aniołów lotem, w kraj duchów się wznosi,
I śród wściekłych wichrów wycia,
Wśród burz ryku, grzmotów bicia,
Tęcza zabłysła na niebie;
Szczęśliwy! możesz cieszyć się nadzieją,
Nieba ci wdzięcznym uśmiéchem jaśnieją;
Ona się modli za ciebie!

V.

Gdy mogił robak pokarmu zawoła,
I nową zdobycz każe złożyć w grobie,
Nim śmierci piętno, tknie się mego czoła,
Wzniosę raz jeszcze me myśli ku tobie;
I bez wstrętu, i bez trwogi
Przestąpię grobowe progi;
Pamięć twa troski zagrzebie,
Słodko mój duchu! słodko z więzów łona,
W ojczystą wzlecisz krainę: bo ona,
Ona się modli za ciebie!

* * *

DUMANIE

dla Pani H. z B. J.

„Żal mi stepów Bessarabii -- chociaż o tych stronach wszyscy najgorzéj mówią, chociaż ja sama nie mam co lepszego powiedzieć, mnie tam dobrze było."

„Krzemieniec mię nie bawi, i najweselsze towarzystwa nudzą, może to wszystko dla tego żem sama została."

Wyjątki z listu.

I.

Step Bessarabski żyznością nie słynie,
Skwarne powietrze i dzikie pustynie.
Próżno przechodzień mdlejący od znoju,
Natęża ucho na cichy szmér zdroju,
Lub spiekłém okiem szuka po przestrzeni,
W cieniu gdzie drzewa świeżéj łąk zieleni,

Dokoła tylko suche morze piasku,
Lśni nieruchomie w skwarnym słońca blasku.
Orzeł bujając pod nieba sklepieniem,
Przelotnym chyba obdarzy go cieniem.
Gdzie niegdzie tylko tuman kurzu wzbity,
Dzikiego konia żartkiemi kopyty,
Zakrętem wichrów dmących bez przeszkody,
Lub wolnym krokiem wędrującéj trzody,
Wznosząc się w górę, znużonemu oku
Ćmi jednostajność smutnego widoku.
Dzikie to strony, lecz je wspomnieć miło,
Z tobą mój luby! »mnie tam dobrze było."

II.

O! droga Litwo! kraju mój rodzinny,
Kraju mych wspomnień! o! jakżeś ty inny!
Pomnę te brzegi gdzie piękna Wilija,
Śród grodu Wilna swą wstęgę rozwija,
I w lazurowém przezroczu swéj wody,
Odbija ojca mojego ogrody.
Jak mi tam wszystko znajome, kochane!
O wy doliny, kwiatami usłane!
Wy góry w chmurach kryjące szczyt śmiały!
Piastunki szczątków dawnéj ziomków chwały!
Gaje! gdzie chyba ptak lub szmér strumienia
Przerywa cichość i lube marzenia!
I wy za przyjaźń przyjaźni nawzajem,
Coście te miejsca czynili mi rajem,

Coście niezmiennem sercem w każdéj chwili,
Żal mój i szczęście zarówno dzielili,
Wszystkich was, wszystkich serce moje pomni,
Wszyscyście wiecznie méj myśli przytomni.
Przebaczcie jednak, że w obcéj mi ziemi,
Daleko od was, pomiędzy obcemi,
Gdzie jedno tylko serce dla mnie biło,
Że z *nim* choć bez *was*, mi tam dobrze było.

III.

Czaruje oko i serce przyr ęca,
Dzika wspaniałość widoków Krzemieńca;
Matka i orszak szczérych przyjacieli,
Uczucia moje pojmuje i dzieli;
Czemuż, ach! czemuż smutna moja dusza,
Smutek mój tylko podzielać przymusza?
Czemu zalany łzami wzrok ponury,
Niegdyś tak chciwy piękności natury?
Tu jéj nie wielbi, w boleści i trwodze
Po skalnéj tylko błąkając się drodze?
Dawno już, dawno, wzruszone jéj pyły
Pogodę szczęścia mojego zaćmiły,
Gdy w nieprzejrzanym ich mglistym obłoku,
Wiecznie obecny méj duszy — znikł oku.
Dawno już, dawno, wiatr i nieostróżni,
Tory kół jego zatarli podróżni.
Lecz wiém gdzie były, i co dnia śladami
Znów je odznaczam i poléwam łzami.

Co dnia śród wozów tysiącznych łoskotu
Słucham znanego kół jego turkotu,
Abym go sama najpjérwéj postrzegła,
Bym na spotkanie najdaléj wybiegła,
By się przed obcym uniesień nie wstydził,
By zimny świadek z łez naszych nie szydził,
By przyjaciele, w powitania chwili,
Z mą ujmą, pieszczot jego nie dzielili.
Przybywaj luby! przybywaj! mnie wszędzie,
Jak źle bez ciebie, z tobą dobrze będzie.

Ant. Edw. Odyniec.

SAMOTNOŚĆ. *

Kto myślą niespokojną wiecznie do gwiazd lata,
A sercem oderwany od ludzi i świata,
Uciekłszy na pustynie albo skał urwiska,
Pogląda jak z ich szczytu strumień w dół się ciska;
Lub gdy go wyobraźnia ku niebu wybiła,
Za szybkim orła lotem chciwy wzrok posyła:
Taki nie jest samotnym — on mową milczenia
Toczy szczytne rozmowy z duchem przyrodzenia!

Lecz ten, kto otoczony towarzystwem ludzi,
Ich obłudą pogardza, pochlebstwem się nudzi,
I z własnemi myślami wieczne tocząc boje,
Nie ma serca przed którém mógłby wylać swoje,
Nie ma istot któreby z rajskiém uniesieniem:
Mógł nazwać przyjaciela, kochanki imieniem.
Ten prawdziwie samotny — śród świata, a przecie
Wszystko, wszystko dla niego umarło na świecie!.

K. Gaszyński.

* Myśl do tego wiérsza wziętą jest z *Bajrona* z dwóch strof drugiéj pieśni *Childe Harolda* zaczynających się od słów:

To sit on rocks, to muse o'er flood and fell,
To slowly trace the forest's shady scene, i t. d.

DO A. G.

Młodzieńcze! piérwszą wiosną rozkwitniony,
Srogich Gradywa świadomy zapasów,
Równie z Febową lutnią oswojony,
Na rzadki przykład młodzi naszych czasów!
Chcesz mnie, starego, wyzywać w zawody,
Bym cię dościgał u kastalskiéj wody.

Wszystko w naturze ma swój kres i miarę.
Jesień schylona bukietów nie rodzi;
Ni drżącéj ręce porywać cytarę;
Ani młodego krokiem starzec chodzi.
Tobie pegazem rączym służy władać;
Mnie dawne lata i dzieje powiadać.

Był czas gdy twoim gorejąc plomieniem,
Przeżywszy życie spólnéj naszéj matki,
Zgon jéj żałośném onucalem pieniem,
Wabiąc przelotnych nadziei ostatki.
Dziś za ojcami spocząć mam z kolei,
Wam promyk lepszych wskazując nadziei.

Jan Paweł Woronicz.

DO IMIONNIKA

Marji Szymanowskiéj. *

I.

Namiętność nam cierpienia tworzy — któż uleczy
Po wielkiéj stracie serce rozdarte, skruszone?
Kto nam wróci dni piękne tak rychło stracone?
Daremnie piękność kunsztu trzyma cię w swéj pieczy!
Posępny jest duch marzeń w uczucia krainie,
A świat wyższy nam ciągle przed zmysłami ginie.

* Jestto przekład wiérsza Goetego, piérwszego poety wieku wpisany do imionnika naszéj piérwszéj artystki, dotąd nieznajomy, a teraz niedawno w ostatniém wydaniu dzieł jego przedrukowany.

(Przyp. tłom.)

II.

Oto skrzydłem serafa muzyka wzleciała!
I wnet człowiek posłyszał tonów milijony:
On przed nią jak przed Bóstwem upadł ukorzony,
I wieczna piękność tchem swym duszę mu obwiała.
Zapłakał — myśl wydostał z rzeczywistéj cieśni,
Tęskny, uczuł niebieską cenę łez i pieśni.

III.

I tak serce ulżone czuje i poznaje
Że bije, że bić może, i że jeszcze żyje.
Za tyle dóbr nam danych, powiédz, serce czyje
W hołdzie czystéj wdzięczności siebie nie oddaje?
Ja czułem — obym tylko równie czuł do zgonu!
Podwójne szczęście, roskosz miłości i tonu!

— „ —

DO A. E. O.

Edwardzie! smutne były to chwile,
Choć je wspominać tak miło,
Gdy braci tylu, gdy uciech tyle,
Tak nas samotnych rzuciło.

Myśmy zostali by się użalić,
By dzień się razem posmucić
By się pożegnać, by się oddalić,
I może nigdy nie wrócić.

Ach pomnę, pomnę twę łzę gorącą,
Którąm na twarzy czuł mojéj!
Wiem co to żegnać, wiem jak piekącą
Truciznę serce żal poi!

Prędkożli da nam wyrok niebieski
Zbliżyć się jak się rozstali?
I tak pomieszać radośne łezki,
Jakeśmy smutne mieszali!

Trzeci szturm do Stawiszcz.

SPIEW HISTORYCZNY.

Chrobry Czarniecki nasroża lice,
Zgrzyta na popłoch żołnierstwa:
A grźmią moździérze, grają haubice,
Huczą Stawiszczan bluźnierstwa.

Daremnie, wszystko piérzcha w zawody,
Przy wodzu tylko garść wiernych;
Murza tatarzyn, Sobieski * młody,
I kilka znaków ** pancernych.

Król Jan III. wówczas chorąży ziemski.

** Znak, wyraz jednoznaczny co u nas sztandar, lub chorągiew.

Żelazną ręką tarł hetman czoło,
Przegryzał język i wargi,
Oczyma wzgardy błyskał w około,
Jąkał obelgi i skargi.

»Przeklęty, wrzasnął, przeklęty boju!
»Zburzę opryszków * jaskinię,
»Póty nie dotknę jadła, napoju,
»Aż com zamierzył, uczynię.

»Odkąd paniętom wylęgłym w puchu,
»Starzec, na hańbę hetmanię,
»Zagrzać do walki krwi w niewieściuchu
»Nie jestem więcéj już w stanie!

»Jaż, com pomimo wrogów zagony,
»Z upadku dźwignął ojczyznę,
»Dziś, w tym motłochu, sam opuszczony,
»Świętą pokalam siwiznę?"

Stała czerń jakby morem owiana,
Każdy bezmowny, struchlały;
Tylko jednego oczy młodziana,
Ogniem błyskawic gorzały.

Skoczył. — Wydobył z piersi głos gromu;
»Dość! — O niech głową nałożę;
»Niech, niech nie ujrzę rodziny, domu,
»Tak mi dopomoż mój Boże!

* Własne wyrazy Stefana Czarnieckiego.

» Nie takie nasi brali fortece,
» Jak ta mieścina ladaco,
Za mną, kto Polak! leć gdzie polecę!
» Wrogi obelgę opłacą!"

Schwycił chorągiew— na wiatr rozwinął,
Spiął ostrogami rumaka,
Ręką ku dziarskim hussarzom skinął,
I lotem puścił się ptaka.

Błysły od ziemi sromne źrenice,
Sypną się tłumy rycerstwa;
A grźmią moździérze, grają haubice,
Huczą Stawiszczan bluźnierstwa.

W dali znak polski, miga jak wstęga....
Koń zbiega wały, przekopy,
Już przedmieściowych szańców dosięga,
Za nim hussarze tuż w tropy.

I bramy miejskiéj piérwszy doskoczy:
Nadbiega Daszko * w pogoni,
Wnet zgrozą obu zaiskrzą oczy,
I szabla w szablę zadzwoni.

I gwiżdżą cięciem częstém i gęstém,
Razy po razach a krwawsze,
Aż jękła zbroja z przeciągłym chrzęstem
I Daszko w prochu na zawsze.

* Daszko, piérwszy przewodźca w Stawiszczach, drugim zaś był Bulan.

Opada zewsząd zgraja wrzaskliwa...
I młodzian ręce już traci...
Lecz jeszcze usty chorągiew zrywa.
A tuż, tuż pomoc spół-braci!

Zemsta, o zemsta! bój grzmi rozgłośnie,
Hetman i wodze tam biegą;
Młody bohatyr kona radośnie,
W uczuciu czynu pięknego.

Wlepił weń hetman oczy zwilżone:
» O droga, święta, (rzekł) ziemio!
» Gdzie słowa wodza na wiatr puszczone,
» Takową cnotę wyplemią."

Z dymem rokoszan poszła jaskinia.
Ktoż był ten młodzian? — ktoś powie!
— Zacny brat szlachcic z nad wód Horynia,
Krysztof Zgłobicki — ziomkowie!

J. B. Zaleski.

POSTYLION WENDA.

Piaskiem Luzacyi dolnéj,
Stępo jechał junak żwawy,
Jechał i w drodze powolnéj
Trąbił w trąbkę dla zabawy.

Trąbił, ale jedne tony
Bezustannie powracały,
I choć nie był zasmucony,
Tęsknotę serca zdradzały.

»Alboć inszy śpiew nieznany,
Że powtarzasz ten jedynie;
Wszak ich wiécéj dla odmiany
Muszą śpiewać w téj krainię?"

»Jestci u nas piosnek siła,
Lepiéj śpiéwać niż się smucić;
Lecz ta nadewszystkie miła,
Dla tego lubię ją nucić."

» A ów bukiet ślicznych róży;
Którym kapelusz ubrałeś,
Powiédz, mój młodzieńcze hoży,
W jakim ogródku urwałeś!"

» U nas róży mnóstwo mają,
W róże się dziewczęta stroją,
Róże swym kochankom dają,
Róże i chłopcom przystoją."

» Skądżeś dostał różę twoję!"
» Moja luba mi ją dała"
» Gdzieżeś słyszał piosnkę twoję!"
» Moja luba ją śpiewała."

To gdy powiedział młodzieniec,
Miłe odwrócił spojrzenie:
W twarzy zapłonął rumieniec,
A z piersi wydał westchnienie.

I też same znow grał tony;
Głos się polem, lasem goni,
Piosnką był uszczęśliwiony,
I różą z kochanki dłoni.

K. L. S.

HAJDUCY *

z Serbskiego.

W dzikiéj jaskini mladin się ukrywa,
A przy nim żona jego urodziwa,
I dwaj synowie w bojach doświadczeni,
Leżą do ostrych tuląc się kamieni.

Trzy dni w jaskini, trzy dni nic nie jedli,
Pandury ** wyjścia do koła obsiedli.
Sto karabinów wnet ku nim wyceli,
Skoroby głowę od ziemi podjęli.

Język w ich ustach na węgiel zgorzały:
Jest trochę wody w rozpadlinie skały,
Ale ją matce podając kroplami,
Wilgotną ziemię ssali tylko sami.

* Hajducy, łotry publiczne.

** Pandury, milicija szczególniéj do ścigania hajduków używana.

Jednak nie jęczą, nie śmią ubolewać,
Wszyscy się boją mladina rozgniewać.
Gdy się noc trzecia nad nimi rozwlekła,
Stłumionym głosem Katarzyna rzekła:

» Niechaj się Pan Bóg zlituje nad wami,
Niech się da pomścić nad prześladowcami."
Podniosła głowę, na łokciu się wsparła,
Westchnęła ciężko, padła i umarła.

Mladin udawał że się nie zasmucił;
Ale synowie, gdy się on odwrócił,
Z żalem to na nią, to na się patrzali,
Nic nie mówili i łzy połykali.

Przyszedł dzień czwarty, z nim słońca upały,
I wyschła woda w rozpadlinie skały.
Próżno brat starszy głód przemódz się stara,
Wpadł w obłąkanie i dobył handżara. *

Patrząc na matkę, jako wilk na jagnię,
Zgadł Alexander czego Chrystycz pragnie.
Własnym handżarem przebił ramie swoje,
I rzekł do brata: bracie! pij krew moję.

Lecz niech ta zbrodnia ust twoich nie kali,
Po śmierci będziem krew Pandurów ssali." **
Słyszał to mladin, wytrzymać nie zdołał,
Porwał się z miejsca i głośno zawołał.

* Nóż, sztylet.

** Mniemanie o upiorach powszechne jest w Serbii.

» Za mną synowie! probujmy przechodu,
Lżéj połknąć kulę, niż umiérać z głodu."
Wszyscy trzéj razem, jak wilcy zajadli,
Ze swéj kryjówki na Pandurów spadli,

Każdy dziesięciu obalił swą siłą,
Każdego piersi dziesięć kul przeszyło.
Wrogi ich głowy na dzidach zatknęli,
Nieśli w tryumfie, a spójrzéć nie śmieli.

Ant. Edw. Od.

PIOSNKI GMINNE LITEWSKIE.

PRZEKŁAD.

I.

OGRÓDEK ZNISZCZONY.

Śpiewaj dziewczyno! — Gdzie mnie tam śpiewanie.
Czego się sparłaś na rączce kochanie,
Czego tak dumasz, co ci się to dzieje?
Główka zaboli, rączka ci zemdleje.
Jak być wesołą po tak wielkim smutku?
Wszystko mi, wszystko zniszczono w ogródku.
Zdeptana ruta com ją sama siała,
Wydarta róża i lilia biała.
Na taki widok żal mię ścisnął srogi,
Serce zdrętwiało i zadrżały nogi.
Wypadł mi wieniec com go w ręku miała,
I jam na grządce rucianéj zemdlała.

II.

PIERWSZA ZNAJOMOŚĆ.

Za górami, za lasami dziéwczę moje było,
Kiedy mi się o miłości i o nim nie śniło.
Przyjechałem nieznajomy, niespodzianie wpadłem,
I w kąciku za chędogim stoliczkiem usiadłem.
Serce mi się przepełniło, łzy stanęły w oku,
A dziewczyna ukochana patrzy na mnie z boku.
W tém kieliszek zapieniony obchodzi koleje,
Jaki taki sam wypije, drugiemu naleje.
I mnie także wpadł on w ręce, jak nie przyjąć było,
Do kogoż tu pić najlepiéj,— do niéj się wypiło.
Do niéj, do niéj się wypiło, wprzód była daleka,
Dziś kochanką i jedyną pociechą człowieka.

III.

ODJAZD.

Jutro bardzo rano,
Włóż koniowi siano.
Przed wschodem jutrzenki,
Wyprowadź z stajenki,
Wyjeżdżam ja w drogę,
Odwlekać nie mogę.

A ojciec na boku,
Ukrywa łzy w oku.
Widać że stroskany
Staruszek kochany.

Zbliżył się do syna,
Tkliwie napomina.
A za napomnieniem:
Płyną łzy strumieniem.

Nie płacz ojcze drogi,
Ja cię nie porzucę,
Jak skoro wyjadę
Tak skoro powrócę.
I w jakież mię strony
Niesiesz koniu wrony?
Niesiesz mię na wojnę,
W kraje niespokojne,
Od rodzinnéj chatki,
Od ojca, od matki.
Nie lepiéj tu tobie,
Przy wygodnym żłobie?
I droga daleka,
I biéda cię czeka,
I ciężar na grzbiecie,
A ty lecisz przecie.
Cięży wór z obrokiem,
I jeździec cię gniecie,
A ty szybkim krokiem
Posuwasz się przecie?
Ej, koniku hoży,
Coraz będzie gorzéj,
Wróć koniu kochany,
Na ojczyste łany.

Stanisław Jachowicz.

IV.

Czegoś taki smutny,
Koniu mój kochany?
Czemu nie jesz owsa,
Owies podsiewany?

Czemu nie chcesz wody,
Koniu mój kochany?
Czy że woda mętna,
Czyś ty zmordowany?

Dwieście mil nie żarty,
Dzień, noc bez popasu,
Za toż spocząć w domu,
Będzie dosyć czasu.

Dobrze, nie jédz, nie pij,
Moja żona młoda
Sama ci dziś owsa,
Sama wody poda.

Nim słoneczko zgaśnie,
Trzeba stanąć w domu,
Daléj wplaw przez rzekę,
Długo czekać promu.

Dziesięć szerszych, głębszych,
Mogliśmy przepłynąć;
Ta wąska i cicha,
Nie już nam tu zginąć.

Wyskoczył koniczek
Z mętnéj, cichéj wody...
Stoi, rży żałośnie,
Utonął pan młody.

V.

WYPRAWA.

Dziś litewski miód pijemy,
Jutro na wojnę pójdziemy,
W węgierskie kraje.
Tam wina jak u nas wody,
Złote jabłka i jagody,
Sady jak gaje.
»No i cóż tam zrobimy
W téj węgierskiéj ziemi?
»Ze złota miasto wystawim,
Za okienka gwiazdy wprawim,
Tém się zabawim.

„No a kiedyż wrócimy
Z téj węgierskiéj ziemi?
„Jak na skałach zrodzi zboże,
Jak na śniégu zejdą roże,
Jak wyschnie morze."

VI.

TANECZNICA.

Czego ty młodzieńcze
Łzami zlewasz lice?
Płaczę że mam żonę,
Żonę tanecznicę.

Gdy inna co wieczór
Kądziel wyprzędała,
To moja panienka
W karczmie tańcowała.

Gdy inna co ranek
Pięć cewek wytkała,
To moja panienka
Do południa spała.

Gdy inne na blechu
Płótno rozścielały,
Moje krośna w kącie
Nie osnute stały.

VII.

Czegoś smutny ojcze stary?
Wyprawiłem syna mego,
Wyprawiłem na tatary
Syna mego jedynego.
Wąs mu jeszcze nie wypłynął,
W pierwszéj teraz będzie bitwie,
Drży mi serce, by nie zginął
Lub nie zrobił wstydu Litwie.
Śmiało synu mój,
Przy chorągwi stój;
Myśl o kraju nie o sobie.
A jeśli cię zły los spotka,
Za ojczyznę śmierć jest słodka,
Będziesz wspominany w grobie.

Powrócili towarzysze,
Powrócili przyjaciele,
»Gdzie jest syn mój, niech usłyszę!
Syn twój wszędzie jest na czele.
Gdzie proporzec swój rozwinie,
Gdzie się mieczem swym zamierzy,
Krew tatarska rzeką płynie,
Broń tatarska mostem leży.
Dobrze synu mój,
Walczysz za kraj swój.
Chwała i mnie i tobie,
Śmieléj naprzód! dosyć żyłeś,
Jeźli żyjąc zasłużyłeś,
Być wspominanym w grobie.

»Ciesz się starcze! w synach Litwy
Pamięć twego nie zaginie,
Kurchan jego w polu bitwy
Jako góra na równinie,
Nie z darniny lecz z turbanów,
Nie z kamieni, lecz z głów Hanów,
Nie z piasku ale z popiołu,
Jeńców spalonych pospołu."
Dzielny synu mój,
Ległeś za kraj swój.
Kraj płacze na twym grobie,
Jak się twą chwałą nacieszę,
Zaraz za tobą pośpieszę,
Powiedzieć o niéj tobie.

Ant. Edw. Od.

DUCH PIOSNEK. *

Wszędzie wołają w którą pójdę stronę:
» Dla czego nucisz piosnki nieuczone?
Za wyższe piosnki zyskać poklask snadniéj,
My w mieście nucim i wznioślej i ładniéj."
Więc szedłem w miasto: noc miesięczną była,
Cała się przestrzeń nieba zagwiaździła,
A mały słowik w gaiku na łące
Nucił wesoło piosnki czarujące.
Poglądam, słucham: w duszę szły te pienia,
A więc usiadłem nad brzegiem strumienia:
W tém bystry strumień w szumnym płynąc biegu,
Takiemi słowy ozwał się do brzegu:
» Przez lasy, pola, woda moja płynie,
A ktoż ją uczył biegnąć po dolinie?

* Jest to ostatnia śpiewka ze zbioru mającego wkrótce wyjść z druku pod napisem "*Piosnki wiejskie.*"

Księżyc jednemi zawsze chodzi ślady,
A ktoż go uczył, kto mu dawał rady
Pływać jak łódka przez powietrzne fale,
Lub się przeglądać w moich wód krysztale?
Słowik z swych piosnek wszędy uwielbiony,
A ktoż go uczył śpiéwać temi tony?
—Bóg wszystko w świecie twórczą natchnął duszą,
Biédni! co natchnień tych uczyć się muszą!"

K. Gaszyński.

Pielgrzym w obcym kraju.

DUMKA.

Nigdyż serce stęsknione
Mar minionych nie prześni!
Wiecznież w jedną gdzieś stronę
Zaczaruje me pieśni?

Jak świat długi, szeroki,
Z lutnią moją podróżną,
Zmieniam miejsca, widoki;
Ale zmieniam naprożno.

Przez miejsc tyle, chwil tyle...
Każdy dla mnie zakątek,
Wszystkie, wszystkie tu chwile
Są bez wrażeń, pamiątek.

I to serce, o dziwo!
Tak czujące dziś mało:
Indziéj biło tak żywo,
Tak płomiennie kochało.

Ach! przed mokrą powieką,
Darmo dzień mi tu płonie!
Wzrok, jak pieśni... daleko,
Wiecznie w jednéj tkwi stronie.

Ku niéj tęsknię z wieczora,
Z jutrznią tęsknię i płaczę..
Bom pożegnał niewczora,
I nie jutro obaczę!

J. B. Z.

Spis rzeczy.

str.

Przepowiedzenie o zburzeniu Tyru, z Izajasza, przez *J. U. Niemcewicza* 1
Fragment, przez *J. Korzeniowskiego* 3
Żałobne róże, powieść przez hr. *A. D. W.* . . 22
Do Boga, z Moora, przekł. *F. Morawskiego* . 35
Himn, przez *Xaw. Godebskiego* 37
Odjazd, elegija 39
Przechadzka, dumanie. 42
Wyjątek z trajedii, *Romeo i Julija* 46
Wyjątek z trajedii *Hamlet*, przekł. *F. M.* . . 51
Przy grobie żony, przez *tegoż* 53
Do lutni. 54
Muzyka, wiérsz *Jul. Korsaka*. 57
Co mi tam, czyli poranek starego myśliwca, przez *Józ. Bogdana Zaleskiego* 68
Świątynia szczęścia, przez *F. M.* 76
Bajki, przez *tegoż* 79
O zwyczajach i obyczajach naszego ludu, przez *L. Zukowskiego* 86
Wyjątek z komedii p. t. *Maruda*, przez *Witwickiego* 105
Tukaj, część trzecia, przez *A. E. Odyńca* . . 116
Król Scytów, przez *F. M.* 120
Śmierć Watela, z francuzkiego, przez *tegoż* . 124
Kochankowie, elegija 125
Chodź do mnie, przez *** 127
Porównanie, przez *F. M.* 129

str.

Żeglarz, przez *** 130
Piérwsza miłość, przez *F. M.* 134
Szal czarny, z *Puszkina* przekł. *Odyńca* . . . 137
Śpiewające jezioro, przez *Zaleskiego* 139
Lutnia Sury, z persk. przez *Sew. Goszczyńskiego* 144
Almotenaby, kassyda z arabsk. przez *A. Mickiewicza* 146
O poezii i krytykach, dwie rozmowy 151
Ślubny przypominek, przez *J. P. Woronicza* . 169
Pamięci Woronicza, wiérsz *Stefana Witwickiego* 173
Czajki, duma *J. B. Zaleskiego* 177
Hugo, powieść Krzyżacka 183
Wesele Hajkony, ballada serbska, przez *K. Gazyńskiego* 195
Córka Ulina, z Campbella, przez *K. L. Szyrmę* 201
Będę się modlić za ciebie, przez *** 204
Dumanie dla Pani H. z B. J., przez *A. E. Odyńca* 207
Samotność, przez *K. Gaszyńskiego* 211
Do *A. G.*, przez *J. P. Woronicza* 212
Do imionnika *Maryi Szymanowskiéj*. 213
Do *A. E. O.* 215
Trzeci szturm do Stawiszcz, śpiew historyczny przez *Józ. Bog. Zaleskiego* 216
Postylion Wenda, przez *K. L. S.* 220
Hajducy z serbskiego, przez *A. E. Odyńca.* . 222
Piosnki gminne litewskie, I. Ogródek zniszczony, II. Piérwsza znajomość, III. Odjazd, przekładu *Stanisława Jachowicza* 225
IV. V. Wyprawa, VI. Tanecznica, VII. przekładu *A. E. Odyńca* 228
Duch piosnek, przez *K. Gaszyńskiego* 233
Pielgrzym w obcym kraju, dumka, przez *J. B. Zaleskiego* 233

A FINE IS INCURRED IF THIS BOOK IS NOT RETURNED TO THE LIBRARY ON OR BEFORE THE LAST DATE STAMPED BELOW.

STALL STUDY

CHARGE

JUN 3 '75 H

4772046

CANCELLED

CANCELLED

FEB 3 1980